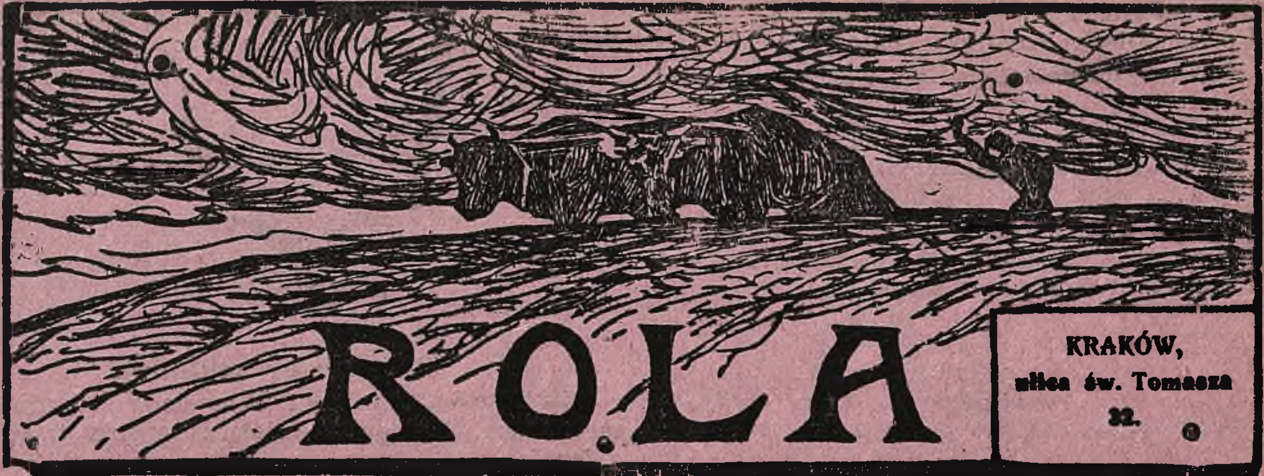
Numer 36 | Nal. poczt. opł. rycz. | Dnia 4 Września 1927



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Filozofja złodzieja.

Sędzia do złodzieja:

Więc skradliście Szmulowi konia?

— Ano tak, panie sędzio, boć okropnie jeść mi się zachciało.

— To przecież jeszcze nie powód, aby biednemu zabrać całego konia. Czy znacie dziesięcioro przykazań Bożych?

— A jakże, znam; lecz wyraźnie tam napisano: Nie pożądaj żony bliźniego twego, ani wołu ani osła — a o koniu mowy tam niema.



Odważny świadek.

Sędzia: — Niech świadek opowie, jak to było! Czy oskarżony miał broń przy sobie?

— Świadek: — Tak jest! Wyciągnął z kieszeni browning i zaczął strzelać.

Sędzia: — Ile razy strzelił?

Świadek: — Ja słyszałem dwa strzały.

Sędzia: — Tylko dwa? Jak daleko stał świadek od oskarżonego?

Świadek: — Przy pierwszym strzale o dziesięć kroków...

Sędzia: — A przy drugim?

Świadek: — O jakieś... sto, a może dwieście...

Nie w ciemię bity.

Pani spotkawszy na ulicy 10-letniego chłopca, palącego z dumą papierosa karci go:

— Coby powiedziała twoja matka, gdyby wiedziała, że palisz?

Naco chłopiec:

— A coby powiedział mąż Pani, gdyby wiedział, że zaczepia Pani na ulicy młodych ludzi?



Przy pracy szkolnej.

— Tatusiu, proszę mi dopomóc w zadaniu arytmetycznem. Mianowicie stolarz zarabia trzy złote dziennie...

— Ależ mój synu — przerywa ojciec — przecież to nie są rachunki, lecz stara historja! Dzisiaj stolarze zarabiają znacznie więcej.

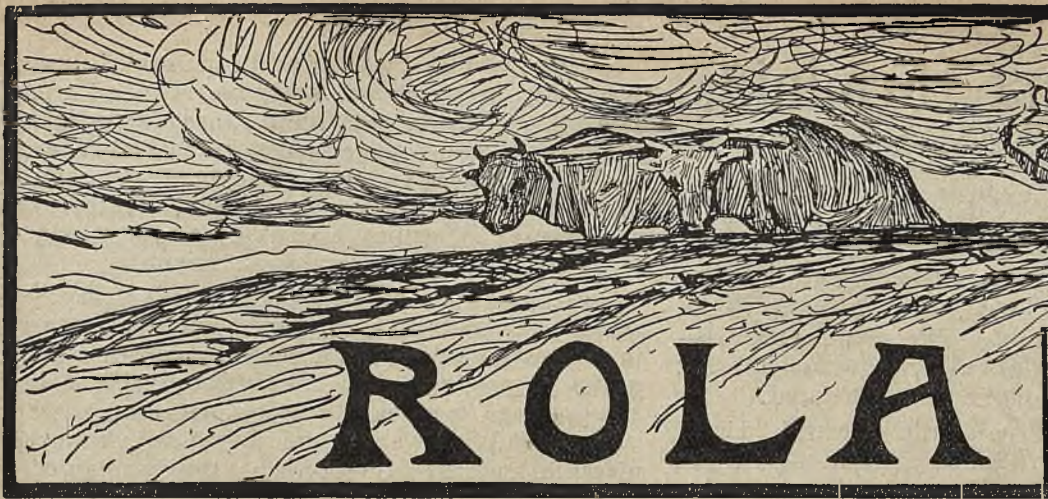


Straszne proroctwo.

Teściowa, która pokłóciła się z zięciem:

— Co, ty się odważasz przezywać mnie, starym pudłem? No czekaj, to niech będzie moja zemsta, że twoja Aurelja będzie kiedyś tak samo wyglądać jak... ja.

Numer 36. Rok X. Kraków, dnia 4 Września 1927



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Miłość i przyjaźń.

Miłość, to cenny klejnot życia naszego. A jednak serca nasze ubożeją i chociaż dużo mówimy o miłości braterskiej, jednak najczęściej z obojętnością omijamy naszych współbraci. Niewiele ludzi kocha naturalnie i właściwie, tak, jak instynkt każe.

Miłość — najdelikatniejsza i najwrażliwsza z uczuć, potrzebuje silnej podpory, aby się mogła rozwijać w całej pełni. Któż z nas chciałby się jej wyrzec? Życie bez miłości nie jest życiem, chociażby człowiek posiadał największe bogactwa — cóż mu z tego? Zimne jest jego życie i puste, bo miłość dopiero nadaje uroku.

Człowiek, życzliwie usposobiony dla bliźnich, nie potępia ich, lecz lituje się nad ich błędami. Człowiek życzliwy, stara się leczyć, pocieszać nieszczęśliwych, wspierać słabych, łagodzić rozjątrzonych. Życzliwość — to skłonność do przykładania się ku szczęściu drugich. Każdy człowiek, został stworzony do dobra i powinien swe siły wytężać na to, by wyższe, szlachetniejsze instynkty rozwijały się w jego sercu, i aby to serce uderzało zawsze przyjaźnią szlachetnych uczuć.

W dzisiejszych czasach, gdy egoizm zapanował wśród ludzi, coraz rzadziej spotkać się można z szlachetnem uczuciem bezinteresownej przyjaźni, łączącej silnie ludzi dawniejszych, którzy się nieraz w imię tej przyjaźni poświęcali, tracąc szczęście i życie dla bliźnich. Od najmłodszego wieku matki powinny rozwijać w dzieciach uczucia życzliwości i miłości dla bliźnich. Dziecko bowiem wzrastać będzie z tem przekonaniem, że młodocianem serduszkiem powinno być życzliwe dla wszystkich, gdyż zawczasu nauczy się odczuwać radość, lub smutek drugich. Wówczas serce to, dojrzawszy, nie będzie oschłością przejęte i samolubstwem. Kochajmy, kochajmy wszystkich za złe i dobre. Jeżeli z czyjejś strony spotka nas przykrość jaka, darujmy cudze przewiny, gdyż tylko wówczas możemy żądać darowania win naszych.

Kochajmy naszą Ojczyznę, tą samą miłością, co nasi przodkowie, którzy umierali z miłości za Ojczyznę. Pomnijmy na ich miłość, która gromadziła na ulicach Warszawy tysiące ludzi, aby wobec osłupiałych ciemiężców nie już walczyć, ale pod godłem przez dzicz kozaczą porąbanego krzyża umierać. Pomnijmy na miłość tych dla Ojczyzny, którzy gnili w lochach i po sybirskich tajgach. Czy chcemy widzieć tę miłość, odgrzebywać ją z pod śniegów, patrzeć na ogryzionych przez zwierza kości, przez stepy pędzonych, z głodu i pragnienia upadłych braci naszych. Czy chcemy widzieć miłość Ojczyzny w szkieletach do murów więziennych przykutych zardzewiałymi łańcuchami. Czy chcemy widzieć miłość Ojczyzny, umierających na zgniłej słomie w lochach, daleko od Ojczyzny, daleko od swoich. Przyjrzyjmy się miłości Ojczyzny u tych co w krwi niewinnie przelanej legli pod batem barbarzyńcy. Przypatrzmy się tej miłości za Ojczyznę, w kibitkach wywiezionych naszych braci na Sybir. Podnieśmy oczy na szubienice i pale, tam miłość za Ojczyznę oddawali nasi bracia, tam wisiały święte nasze ofiary. Ile mogił, ile krzyżów, a wszędzie zobaczymy miłość Ojczyzny. Całem sercem i duszą kochajmy się i kochajmy naszą Ojczyznę, kochajmy nawet poza grobem.

Jeżeli tak się ukochamy i Ojczyznę naszą, wtedy niech grzmią pioruny, szaleją burze, nic nas nie rozerwie. Bóg nas obdarzy szczęściem tem, co obiecał na szczycie Golgoty.

Maryśka z Kamionki.

Pomszczona zbrodnia.

Powieść historyczna z czasów Krzyżackich.

I.

W roku 1410, dnia 15 lipcą, zostali Krzyżacy w krwawej bitwie pod Tannenbergiem pobici na głowę. Władysław Jagiełło, król Polski, i dzielny wódz litewski, Witold, wyprowadzili byli przeciwko nim bohaterskie swe szyki, i taką rozbójniczemu zakonowi zadali klęskę, że zdawało się, iż niepodobną mu będzie rzeczą istnieć nadal.

W tem krytycznem położeniu wezwał wielki mistrz, Henryk Reuss von Plauen w największym pospiechu cały konwent, który się zgromadził w zamku Malborskim. Zebrali się komturowie, dygnitarze i rycerze, którzy nie byli w polu, wszyscy w białych płaszczach z czarnymi krzyżami, uzbrojeni w miecze, posępni i smutni.

Stawili się także reprezentaci miast, zależnych od zakonu, pomiędzy nimi burmistrz Gdańska, Konrad Leskau, oraz rajcy miasta: Arend Hecht, Tidemann Huxer i Bartłomiej Grosse.

Gdańsk, potężne ongi miasto kupieckie, stało się podwładnem zakonowi; dawniej dążyli do posiadania tego bogatego miasta Szwecja, Danja, Pomorze i Niemcy. W roku 1307 obległ Gdańsk margrabia Waldemar, a obywatele wezwali w tej potrzebie nieostrożnie Krzyżaków na pomoc. Ci też stawili się chętnie, uwolnili miasto od nieprzyjaciela ale natomiast sami zdradziecko je zajęli, i aby je tem pewniej mieć w swojej mocy, zbudowali w niem zamek warowny i obsadzili w nim komtura z odpowiednią liczbą rycerstwa i urzędników.

Od dawnego też czasu obywatele żyli w niezgodzie z rycerzami zakonnymi, a obecny komtur Hugo von Thronek był zaciętym nieprzyjacielem patrjotycznego burmistrza, który wszelkimi siłami starał się o to, aby bronić dobra miasta wobec zachcianek i samowoli krzyżackiej.

Rzecz jasna, że teraz w chwili niebezpieczeństwa, gdy chodzi o to, aby się ostać wobec przewagi oręża polskiego, musiały ustać wszelkie niesnaski. Wielki mistrz przypomniał w swej mowie, zagajającej obrady, że wszelkie niesnaski, nieporozumienia i niechęci ustać koniecznie powinny. Na to odpowiedział burmistrz Konrad Leskau, że chętnie jest gotów, podać rękę do zgody, jeżeli komtur mu da przyrzeczenie, że na przyszłość nie dopuści się żadnych przekroczeń swej władzy. Na rozkaz wielkiego mistrza musiał Hugo Thronek dać to przyrzeczenie w uroczystej formie, musiał burmistrzowi podać rękę na znak zupełnej zgody. Jednakże widać było, że czynił to tylko niechętnie, a w oczach jego tem większa przebijała się nienawiść.

Przy następnych obradach chodziło głównie o to, znaleść zaufanego posłańca do margrabiego Brandenburskiego, aby tak jego, jak i innych książąt wezwać na pomoc zagrożonemu zakonowi. Potrzeba było do tego człowieka tyle rozumnego, co odważnego, któryby wszelkimi sposobami dyplomatycznymi i wymową umiał książąt nakłonić, aby dali pomoc i to pomoc pospieszną, gdyby listy wielkiego mistrza same nie wystarczyły. Wskutek ogromnych strat bowiem w bitwie pod Tannebergiem, były krzyżackie siły tak osłabione, że z największemi wysileniami tylko w twierdzach swych tak długo utrzymać się mogli, ażeby uproszona pomoc nadeszła.

Całą okolicę zajęły szyki polskie i litewskie, wszystkie drogi, ścieżki, mosty na rzekach i brody zajęte były strażami polskiemi, które na rozkaz króla polskiego każdego podejrzanego przechodnia aresztowały i do obozu pod sąd odstawiały wojenny. Wiedzieli o tem dobrze rycerze zakonni, że nieprzyjaciel nadzwyczaj był czujny, bo kilku już wysłańców zostało pochwyconych i śmiercią ukaranych.

Kilku młodych, uniesionych zapałem rycerzy zgłosiło się do tej wyprawy, nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo, ale ponieważ żaden z nich nie umiał po polsku, przeto oświadczył wielki mistrz, że zaszczytnego tego, jako i niebezpiecznego posłannictwa pod żadnym warunkiem podjąć się nie mogą. Koniecznie bowiem była potrzeba, aby wysłaniec podszedł i oszukał straże polskie, a tego tylko dokazać mógł ten, kto mówił dobrze po polsku i za Polaka mógł się wydawać.

Żaden też z reszty nie umiał dostatecznie po polsku. Wśród ogólnego zamieszania i trwogi powstał nagle burmistrz Gdańska i rzekł:

— Jestem gotów podjąć się tego posłannictwa, przejść przez straże nieprzyjacielskie i pomoc sprowadzić. Przebrany za żebraka bezwątpienia oszukam straże, bo po polsku i po niemiecku władam tak, jak ojczystym moim językiem niemieckim. Gdyby mi jednakże przydarzyć się miało nieszczęście, no — to umrę za ojczyznę, umrę z tem przeświadczeniem, że spełniłem mój obowiązek. Na ten przypadek polecam żonę moją i dzieci opiece miasta Gdańska i świętemu zakonowi. Dajcie mi więc listy wasze do margrabiego i reszty książąt, wielki mistrzu! Na pospiechu bardzo wiele zależy. Jeszcze tej nocy w imię Boże wybiorę się w drogę!

Rozjaśniło się oblicze wielkiego mistrza. Mąż tak mądry, uzdolniony i energiczny, jak Konrad Leskau, był najodpowiedniejszą osobistością do spełnienia tak uciążliwej i niebezpiecznej misji, przy której chodziło nasamprzód o to, aby ujść zasadzek czujnego i podstępnego nieprzyjaciela, a potem nakłonić potęgą wymowy obcych książąt do rychłego spieszenia z pomocą.

— Ofiara wasza, panie Konradzie, brzmi w uszach moich, jak muzyka niebieska — odpowiedział wielki mistrz. — Jesteście zaprawdę najzacniejszym ze wszystkich zacnych ludzi, że pomimo niesnasek z zakonem i komturem Gdańskim, tak bezinteresownie poświęcacie się dla dobra zakonu. Wdzięczność i sława będą udziałem waszym po wszystkie czasy, to wam ręczę słowem mojem rycerskiem! Niech was Pan Bóg prowadzi w drodze i broni od wszelkiego niebezpieczeństwa!

To powiedziawszy poszedł wielki mistrz do swego pokoju i przyniósł listy do margrabiego Brandenburskiego i innych książąt, które to listy już miały być przygotowane.

Tymczasem polecał burmistrz rajcom sprawy miasta i troskę o własną rodzinę.

Wielu z rycerzy zakonnych przystępowało do niego i w gorących słowach dziękowało mu za gotowość, z jaką z narażeniem własnego życia poświęcał się dla dobra zakonu. Niektórzy rycerze jednakże uporczywie trzymali się zdala — należeli oni do stronnictwa Hugona Thronek, który sam z posępnym a szyderczym uśmiechem patrzał na patrjotę, a w sercu swem, przepełnionem nienawiścią to miał życzenie, aby wpadł w ręce nieprzyjaciół i tam śmierć znalazł niechybną.

Nadszedł wieczór i zmrok ogarnął zamek Malborski. Konrad Leskau odebrał listy i błogosławieństwo wielkiego mistrza. Ubrał się w podartą siermięgę żebraka, a listy schował w sandały; potem z nadejściem nocy wybrał się w uciążliwą i niebezpieczną drogę.

Wśród tysięcznych niebezpieczeństw, nieraz blizkim śmierci, przemknął się burmistrz przez straże polskie i litewskie, znajomością języków oszukał tych, w których moc się był dostał, przedzierał się przez gęstwiny, przepływał głębiny rzek, aż szczęśliwie dotarł do celu swej drogi. Wymową swoją nakłonił margrabiego i innych książąt, że natychmiast znaczne wysłali posiłki i z posłannictwa swego najlepiej się wywiązał.

Ale był też czas największy, że pomoc nadeszła, bo Krzyżacy zaledwie utrzymać się zdołali w swych twierdzach, a przy pomocy zawrzeć mogli pokój chociaż pod uciążliwymi i upakarzającymi warunkami.

Od tego czasu, od klęski pod Tannenbergiem, rozpoczął się upadek zakonu, podczas gdy od czasu panowania Władysława Jagiełły najświetniejsza rozpoczęła się epoka Polski, która przeszło dwieście lat trwała. Granice Litwy połączonej z Polską, ciągnęły się na północy nad morzem Bałtyckiem, a na południe aż do morza Czarnego, tak, że w owym czacie hanowie tatarscy, wojewodowie mołdawscy i wołoscy byli lennikami Polski. Niejednokrotnie ofiarowali Czesi królowi Polskiemu koronę, a i niemieccy książęta starali się o przyjaźń Polski. Słowem, Jagiełło był jednym z najpotężniejszych książąt onego czasu.

II.

Podczas gdy zakon, jak już powiedzieliśmy, chylił się ku upadkowi, wkradł się też najzgubnieszy nierząd pomiędzy jego członków. Religja chrześcijańska i chwała Boża już dawno u nich była płaszczykiem tylko, którym pokrywali swą chciwość i pychę, teraz też znikł i duch rycerski, a o dochowaniu ślubów zakonnych nikt już prawie nie myślał.

Na odległych komturstwach hulali i szaleli do woli rycerze zakonni, uciskali i dręczyli najniemiłosierniej nieszczęśliwych poddanych, dopuszczali się rabunków i gwałtów haniebnych, a pod względem niemoralności i rozpusty, smutnej w całym kraju dobili się sławy.

Sprężysty mistrz wielki, Henryk Reuss von Plauen, chciał wprawdzie zapobiedz temu moralnemu rozkładowi zakonu, ale to było niepodobieństwem, i z głębokim smutkiem patrzeć musiał na to, jak zakon coraz więcej odstępował od pierwotnego swego przeznaczenia i coraz głębiej upadał.

Do tych, którzy najbezczelniej drwili sobie z ustaw zakonu, należał komtur gdański Hugo von Thronek. Jak dawniej uciskał on i poniewierał za pomocą podwładnych swych rycerzy i pachołków mieszkańców miasta, niepomny na tę ważną przysługę, którą burmistrz miasta, Konrad Leskau, zakonowi był wyświadczył. Nawet potajemnie ułożył sobie plan usunięcia, czyli poprostu zamordowania burmistrza i radnych miasta. Z napomnień i próśb wielkiego mistrza, który do zgody i przyjaźni zachęcał, szydził publicznie. Z równymi sobie towarzyszami zawiązywał niecne intrygi, których ostatecznym celem było złożenie z urzędu, lub zamordowanie samego wielkiego mistrza, chciał bowiem zdrajca sam sobie tę godność przywłaszczyć.

Konrad Leskau zanosił bezustannie skargi na komtura, nie puścił płazem żadnej z krzywd, przez niego wyrządzonych, przez co — rzecz naturalna — wzajemna nienawiść z każdym dniem wzrastała. Było życzeniem burmistrza, aby w miejsce Hugona innego nie było w mocy wielkiego mistrza, zadosyćuczynić temu słusznemu żądaniu. Tyle jednakże uczynił, że kilkakrotnie osobiście z Malborga przybył do Gdańska, aby powagą swą przyczynić się do pogodzenia nieprzyjaznych stronnictw. Wreszcie zdawało się, że zabiegi jego pożądany odnoszą skutek. Zebrano się spólnie w kościele Marjackim, a po uroczystem nabożeństwie złożyli komtur i magistrat przysięgę przed ołtarzem, że odtąd będą żyli w zgodzie i przyjaźni i zapomną dawniejszych niesnasek.

Burmistrz i rajcy, sami zacni mężowie, mieli najrzetelniejszy zamiar dotrzymania tego, co przysięgli. Inaczej było z podstępnym komturem, który dlatego tylko takim się skłonnym okazywał do zgody, aby z tem większą pewnością wykonać mógł plan dawno obmyślany.

W Niedzielę Palmową 1411 r. dokonać chciał zbrodni. Na ten dzień urządził w zamku swego komturstwa suty bankiet i zaprosił nań „kochanych swych nowych przyjaciół", jak ich obłudnie nazywał, tj. burmistrza Konrada Leskau i rajców Arenda Hechta, Tidemanna Huxera i Bartłomieja Grossego.

Zaproszeni zebrali się na naradę i zastanowili się nad tem, czy wypada zaproszenie przyjąć. Tidemann Huxer, doświadczony starzec, nie wierzył w szczerość tej nowej przyjaźni i radził, zaproszenia nie przyjmować, ale Konrad Leskau przeciwnego był zdania i Huxer został przegłosowany. Leskau uzasadniał sw zdanie tem, iż od owej przysięgi w kościele Marjackim komtura postępowanie było odmienne i sprawiedliwsze od dawniejszego, i że interes miasta tego wymaga, aby z nim w zgodzie żyć i przyjaźni. A przyjaźń łatwo mogłaby się zerwać, gdyby tego dostojnego pana odmowną odpowiedzią obrażono.

Na zdanie to zgodziła się reszta, a nawet i Huxer nie mógł ostatecznie rozsądnych tych wywodów skutecznia zbijać, chociaż często posiwiałą potrząsał głową.

W Niedzielę Palmową przed południem wybrali się tedy wszyscy czterej dygnitarze miasta, ubrani w płaszcze hiszpańskie i szczerozłote łańcuchy, w drogę do zamku komtura. Most zwodzony był spuszczony, przeszli więc przezeń i stanęli przed bramą.

W tej chwili, gdy przejść chcieli przez bramę na dziedziniec, zbliżyła się do nich figura fantastycznie i pstro ubrana. Był to błazen komtura, obwieszony płatkami i dzwonkami. Zakonni ci rycerze bowiem trzymali sobie na wzór monarchów błaznów nadwornych, karłów, kuglarzy i komedjantów, śpiewaków i grajków.

Błazen spojrzał znacząco na przybywających dygnitarzy, rozśmiał się na głos i przechodząc koło nich, szepnął im do ucha:

— Gybyście wiedzieli, co dla was nagotowano, z pewnością nie przyszlibyście na ucztę!

To powiedziawszy uciekł, nie wdając się w żadne wyjaśnienia.

— Dzieci i błazny mówią prawdę! — rzekł Tidemann Huxer posępnie, stawając w miejscu. — Ja nie pójdę do zamku. Nie myślę krępować waszej woli; róbcie, co wam się podoba. Ja się cofam, bo rozsądek mi wskazuje, nie wchodzić lekkomyślnie do jamy tygrysa!

— Przesada, stary przyjacielu! — zawołał Konrad Leskau — przecież nie dacie się powodować głupstwami pstrego błazna! Czy chcecie być przedmiotem drwin u stołu komtura? Czyż mają was posądzać o tchórzostwo?

— Niech mówią, co chcą — szepnął starzec — ja postanowienia mego nie cofam. Nie ufam podstępne-

mu tyranowi, chociaż przyjaźnie się uśmiecha. Wierzcie mi, kochani przyjaciele, że tygrys wam pokaże pazury i wpoi je w ciało wasze, skoro tylko was mieć będzie w swej mocy! Ale czyńcie, jak wam się podoba. Ja stary, słaby i podejrzliwy, nie chcę wam stać na zawadzie. Wrócę się do domu. Gdyby było potrzeba, uniewinnijcie mię w jakikolwiekbądź sposób, powiedzcie, że poczułem się słabym i dlatego powróciłem. Czy to uczynicie, kochany panie Konradzie?

— Z największą chęcią — odrzekł burmistrz. — Przecież koniecznie wypada powiedzieć coś na uniewinienie. Wracajcie więc z Bogiem, stary przyjacielu, skoro już nam towarzyszyć nie chcecie. Dziś wieczorem przybędziemy do was i uśmiejemy się z niepotrzebnej waszej obawy.

— Daj to Panie Boże! — odrzekł stary rajca uroczyście. — Cieszyłbym się doprawdy bardzo, gybyście słuszny mieli powód, serdecznie wyśmiać mię starego głupca. Ale gdybyście przyjść nie mieli, gdybyście żywo nie wyszli z jaskini tygrysa, wtenczas ja nad wami zapłaczę i o zemście pomyślę.

— A cobyście uczynili, gdyby nas nieszczęście jakie spotkać miało?

Gdyby was zamordować miano, natenczas według zasady starego zakonu, „krew za krew", utworzyłbym tajny trybunał, stanąłbym na jego czele i prędzejbym nie spoczął, dopókibym nie zgładził ze świata tyrana i zbójeckiej jego szajki.

— Zanadto czarno patrzycie, przyjacielu Huxerze! Wyobraźnię waszą otacza krwawa mgła, dlatego jasno nie widzicie. Więc bywajcie zdrowi! Jeżeli chcecie powrócić, pospieszcie się, bo pachołki zabierają się do podniesienia mostu zwodzonego. Idźcie z Bogiem!

— Niech was Pan Bóg ma w swej opiece! — zawołał starzec. — Do widzenia, kochani przyjaciele, jeżeli nie tu na ziemi, to w Niebie!

I pobiegł spiesznie i właśnie zdążył na czas, bo zaledwie przeszedł przez most i był na drugiej stronie fossy, uchwycili parobki za korby i koła, i podnieśli most na ciężkich łańcuchach wiszący.

Tidemann Huxer smutnie spojrzał poza siebie i w cichej modlitwie złożył ręce.

Rajcy z burmistrzem weszli tymczasem przez otwartą bramę, która za nimi z trzaskiem się zamknęła. Znajdowali się teraz na dziedzińcu zamkowym.

W tej chwili usłyszeli dziwny ochrypły śmiech. Obejrzeli się i ujrzeli na murze nad bramą błazna komtura, który na nich spoglądał.

— Trzech tłustych ptaszków udało się złapać — zawołał przeraźliwym głosem — ale chudy stary wróbel zanadto był przebiegły i nie poszedł na plewy.

Dreszcz zimny przejął na te słowa gdańskich patrycjuszów, ale Konrad Leskau pierwszy przyszedł do siebie i zawołał:

— Nie dajmy się ogłupić temu błaznowi! Chodźmy, przyjaciele!

Bogato ubrana służba nizkimi pokłonami przyjęła spodziewanych gości i po szerokich schodach zaprowadziła ich do przepysznej, wysokiej sali bankietowej, o wysmukłych gotyckich oknach.

Na sali zastali już komtura z całym dworem, który się składał z mniejwięcej czterdziestu rycerzy i innych lenników zakonu. Zamek, podobny do twierdzy, zapełniony był zbrojnymi. Komtura wojsko składało się z 1500 zbrojnych i ciurów, nadto posiadało trzy małe armaty, pierwsze, które w Gdańsku widziano. Przy drzwiach i schodach stali na straży zbrojni halabardziści.

Na środku stał ogromny stół, okryty czerwonym kobiercem, uginający się pod ciężarem złotych i srebrnych naczyń rozmaitych dziwacznych kształtów, jak to wtenczas było w zwyczaju.

W głębi sali spuszczała się czerwona zasłona pomiędzy dwoma marmurowemi kolumnami.

Komtur, posępny, rudobrody mężczyzna, liczący około pięćdziesiąt lat, siedział na wielkiem rzeźbionem krześle, stojącem na wywyższeniu. Podniósł się z krzesła, gdy trzej patrycjusze gdańscy do niego się zbliżyli i z uszanowaniem nizko się pokłonili.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Potok.

Na świat przyszedł potok młody
Z łona śnieżnych wypadł skał,
W przepaść rzucił rwące wody
W sklawicy wściekły szał,
Między głazy z grzmiącem echem
Ku dolinom żwawo biegł,
I pożegnał dźwięcznym śmiechem
Rodzicielski wieczny śnieg.
Ani przestróg nie posłyszał.
Co na drogę dął mu wiatr,
Lecz jedyną chęcią dyszał,
By porzucić progi Tatr.
W dali hala się doń śmiała,
W dali śpiewał ptasząt chór,
Kwietna łąka mu pachniała
I nęcił go ciemny bór.
Darmo za nim płaczą chmury.
Darmo za nim wicher gna,
Nie zawróci się już w góry,
Lecz do dolin pędzi dna...
Gdy rodzimy próg już minął,
Wtedy zwolnił rączy bieg
I radośnie we świat płynął
Aż na łonie łąki legł.
Potem rwąc z jej brzegów kwiaty,
Sunął z niemi wdzięczny tan,



Kędy zbóż złotemi szaty
Wabił go pszeniczny łan.
Potem jagód zakosztował,
Kilka listków chwycił z drzew
Lecz nagle się zafrasował,
Gdy jesienny powiał wiew.
Nieopodal ujrzał wodę,
Ta go miała ponieść w dal;
Wspomniał swoje lata młode
I chwycił go wielki żal.
Za nim, w Tatrach pozostały
Górna młodość — wiosny sen,
Chciałby wrócić, kędy z skały
Źródłem trysnął na świat ten.
Stanął, rozlał się w jezioro,
Chciałby wrócić do swych Tatr,
Chciałby ku nim wrócić skoro,
Gdzie mu szumiał halny wiatr!
Ale wrócić już nie może
Do rodzinnych swoich hal...
Płynąć musi, hen, nieboże,
W mroczną, obcą płynąć dal.
Stanął, spojrzał w świat daleki,
Na gór sinych spojrzał śnieg,
Rzucił się na mary rzeki
I z nią w grobie morza legł.

Marjan Gotkiewicz.

TĘSKNOTA.



W oczekiwaniu.

Rzekł jej:
»Gdy słońce ku ziemi się schyli
I swemi blaski zaróżowi drzewa,
Bądź tam, gdzieśmy się wczoraj umówili,
Gdzie serce w błogiej rozkoszy omdlewa,
Gdzie usta wiodą szept cichy, tajemny,
Gdzie dłonie w uścisk łączą się wzajemny.
Bądź tam
I czekaj w upornej tęsknocie,
Póki ku wspólnej i wielkiej radości
Dzieweczko moja, Ty złoty klejnocie,
Nie spłynę do Cię na skrzydłach miłości
I nie usiędę przy Twym drogim boku,
By szczęście widzieć i czytać w Twem oku!«
Przyszła,
Jak anioł ukąpana w bieli,
Wśród której tylko gwiazdki ócz migocą,
I ócz promienie w dal bezkresną ścieli,
Gdzie się ostatnie zórz promienie złocą,
Czy się nie zbliża ten oczekiwany
Jeden, jedyny, z tysięcy wybrany.
Patrzy
I czeka w upornej tęsknocie,
Czy się cień jego wśród drzew nie ukaże,
Czy go nie dojrzy w zórz wieczornych złocie?
Wzrok i słuch swój wysłała na straże,
By jej doniosły, czy idzie kochany
Z taką tęsknotą serdeczną czekany.
Słyszy...
Ach nie, nie! Słuch ją tylko mami!
Wszak nikt nie idzie, nikt się nie przybliża...
Wiatr zakołysał leciuchno drzewami
A myśl, jak strzała, doniosła jej hyża,
Złudną wieść, aby jej rozpromienić lice
I skrócić moment zbyt długą tęsknicę.
Czeka
I tęskni, a w takiej tęsknocie
W biednej głowinie szumieć nie ustaje,
Kłębi się myśli najróżniejszych krocie,
Z których ta jedna wreszcie pozostaje:
»Czekaj, gdy przyjdziesz, winy nie daruję,
Ale Cię na śmierć... na śmierć... zacałuję!«

Antoni St. Bassara.

Manna.

A więc jeszcze jedno podanie biblijne, które uważano za baśń fantastyczną, okazało się prawdą. A więc manna, którą Mojżesz żywił Izraelitów na puszczy była możliwa. A więc, co więcej, ta manna istniała i istnieje dotychczas, jako objaw zupełnie naturalny, w którym cudem było tylko nagłe pojawienie się jej w takiej ilości, że mogła stanowić pożywienie uciekających z Egiptu żydów. Nawet smak i kształt tej manny jest taki, jak to Biblja opisuje.

Mianowicie w pierwszej połowie lipca r. b., Hebrajski Uniwersytet w Jerozolimie wysłał ekspedycję naukową, złożoną z badaczy owadów, na półwysep synajski, celem zbadania sprawy t. zw. manny, którą handlują Arabowie, pod nazwą Manny z Nieba, a którą dotychczas uważano za skrzepłe wycieki pewnego drzewa. Otóż ta ekspedycja twierdzi, że owa substancja nie jest stwardniałym sokiem drzewa, nakłótego przez owady, ale współprzetrawionemi wydzielinami pewnych owadów, żyjących na owych drzewach, tak jak miód jest współprzetrawioną wydzieliną pszczoły.

Mianowicie ciecz jasna, podobna do syropu wydobywa się z dolnej części tułowia owadu i jeżeli wydzieliny są obfite, to spadają na ziemię, tworząc twarde, białawe ziarnka cukrowe, w wielkości, od główki szpilki do grochu. Ilość tych ziarenek jest zmienna, obfitość zbiórki zależy od obfitości deszczów zimowych, a Beduini opowiadają, że bywa, iż jeden człowiek może dziennie zebrać do półczwarta funta manny.

Wyprawa widziała pokłady manny na całej długiej przestrzeni kraju, przebytej w owej podróży naukowej.



Bez cały tydzień Kaśka była la mnie słodziutka jak ogórek z miodem. Wszyćką swoją babską wściekłość wycylowała na Józka Makolągwę za to, że zdawało się jej, że to już, a z tego, jak wiadomo, nic nie było. A najgorzej babę rozdraźnić. Jak ty koło niej na paluskach, to ona choć ci za pazury lizie, ale przecie casem ma zmiłowanie i daje ci ociupinkę świętego spokoju. Lec skoro jej ty kły pokażes, to ona zaraz do ciebie z pazurami, że i niewiada, ftórą się stroną do niej obrócić, aby cię nie udrapała. Tak też było i z Kaśką. Myślała, że kuždy będzie taki la niej, jako ja bywałem. Robiłem ci wszyćko la niej, co ino rzywnie chciała, a ino tego jednego nie chciałem ucynić, abym się z nią obabił. To też choć nieraz dobrze mi wlazła za pazury, to przecie jesce nie było wszyćko tak najgorzej, bo jej się zdawało, że przecież kiedyś cas przyjdzie, że ją powiedę do świętego Sakramentu.

Ale jak Józka już miała na ołtarz uchwycić, tak o mnie ani diu, diu. Sierdziła się psia mać okopcona, że myślołby kto, że to nie Kaśka, ale jaka organiścionka, alibo jesce co lepsiejsego. Ale jak jej Makolągwa z garści wylecioł, to bez cały tydzień chodziła, jak po kwaśnem mliku, a potem nie mając na kogo, na mnie wjechała i o mało mi ślipiów nie wyskubała.

— To wszyćko bez ciebie Maciek — powiada — bo jak by nie ty, to jabym się nie potrzebowała wydawać, bobym była już dawno wydana. Czemużeś mnie zatraceńce nie brał, nim się wojna zacęła? Bylibyśmy se dzisiaj z piętnaściorgiem dziecek żyli, jak te dwa gołąbki u Pana Boga za piecem, a tak co? Przychodzili podcas wojny ci i tamci, gadali, co jem się podobało i robili, co jem się podobało, a wis, że kužda kobita na takie rzecy łasa. Nie dziwota więc, że i mnie się we łbie przewróciło. Co jakie wojsko bez Psią Wólkę przechodziło, to było w niem kilkudziesięciu siarziów, kilkunastu oficerów, a co drugi oficer, to jakisik książę niemiecki. Coprawda, tom ta ani na śpas o żadnem księciu nie myślała, ale oficer, albo jaka inksa siarzia, to się mi mógł trafić. A że się nie trafił, to już nie moja wina. Bo choć oni chcieli i ja chciała, to jakosik się tak składało, że jak który z nich chciał, to ino bez dzień, abo godzinę i sed, albo jechał na kobyle dalej, a ja zostawałam w Psi Wólce i znowu z insem zacynałam od nowa. I tak się ciągło łat parę, jaz się wojna skońcyła, a z nią skońcyło się wszyćko, ino mi ty jeden pozostałeś, póki mi się nie trafił Józek Makolągwa. A kiedy jemu Poniezus ślipie na lewo obrócił i nie chce iść ze mną do łuntarza, to teraz na ciebie cas powsinogo, abyś skońcył z tem wymykaniem się od kościelnego małżeństwa i posed ze mną do Jegomości na pacirze. Nimas się cego bać! Baby wszyćkie są jednakie, choć na pozór kužda inksa się wydaje. Ta tylko między niemi różnica, że jedna przeklina cię otwarcie, a druga po cichu, jak ty nie słysys. Jedna gzi się z chłopakami przy tobie, a druga za twojemi plecami. Jedna okłamuje cię ućciwie w ocy, a druga, jak ty nie widzis. I po co ci sukać inksy, kiedy co do mnie wis wszyćko dokumentnie i żadna rzec ci nie będzie nowością.

— Dmuchnij se psu pod ogon — ja jej na to. — Jesce nie było takiego człowieka na świecie, któryby babę dokumentnie poznał! Kužda z was ma osiemnaście natur, a la kuždego inksa, i kuždemu inacej się umi przypodchlibić. Przed ślubem. A i po ślubie, ale już nie wszyćkiem, bo dla wszyćkich insych ma zmiłowanie Pańskie, ino go ni ma dla własnego obśturchańca. Józka będzie po głowie głaskać, Walkowi w ślipie zaglądać, Bartkowi kikuty ściskać, Wawrzkowi co inksego robić, a la swojego rodzonego chłopa ma ino ozór i pazury i tak niemi dzień na dzień przeiżdża, aż ten ze strapienia albo kopyta wyciągnie, albo ciśnie babę do pieruna i sam se pójdzie swoją drogą. I poco mi więc żeniacka? Na tamten świat jesce się mi nie śpiesy, a brać babę i potem od niej odlatować za parę dni, to także mała uciecha. La tego ja se tak myślę, że już lepiej tak samemu chodzić i chodzić, a jak pocuje, że kostusia z kosą się zbliża, to wtedy się obabię. Ale nie dłużej jak trzy dni przed skonaniem. Bo powiadają starzy ludzie, że baba to ino trzy dni po weselu jaka taka.

Jakem to Kaśce powiedział, tak z całą gębą wsiadła na mnie i pyskuje rano i wiecór, we dnie i w nocy, we śnie i na jawie i tak ciągiem bez ustanku, jakby kto w nią z jednego końca dmuchał.



Myśli.

Szukaj a znajdziesz w Eklezjastyku,
Że u głupiego serce na języku.

☆ ☆

Tyk, tak, zegar szepcąc gada,
Że czas w wieczność wciąż zapada.
Puk, puk, serce też wtóruje,
Że czas leci aprobuje.
Zegar tyka, serce bije,
A człek coraz krócej żyje.

☆ ☆

Czemuż ty co rana piejesz koguciku?
Czemu dana, dana, zawodzisz chłopczyku?
Bo ja rzecze kogut budząc się co rana,
Jak umię, jak mogę, tak wychwalam Pana.
Bo ja, rzecze chłopczyk, nie mam potrzeb wiele,
Zdrów jestem i wesół, śpiewam sobie w siele.

☆ ☆

Gdy się pies zaniedbuje w urzędzie szczekania,
Szkoda dlań i jednego skromnego śniadania.

☆ ☆

I zimie nie do twarzy, gdy się w wiosnę bawi
I sędziwej staruszce, kiedy głupstwa prawi.

☆ ☆

Na to się nos paradny o dwóch dziurkach trzyma,
By rozróżnić potrawę, czy się psuć zaczyna.

Piotr Wenc.

WŁADYSŁAW WOSNAK.

UCIECZKA ARCHANIOŁA

Powieść współczesna.

— Nie wiem, co się stało tej kozie? — mówiła matka niby sama do siebie jakoś kilka dni po owej stajennej rozmowie Jędrzeja z Frankiem. Ucina z mlekiem z dnia na dzień... Coś nowego, bo przecież niedługo jest po młodem. Pewnie coś zjadła niedobrego, albo ją gdzieś zawiało. Przeciągi są tutaj na wszystkie strony, że człowiek o siebie nie jest pewny. Zawiało ją.

Zaciągnięta nić nowego życia zaczęła się wlec po ostrej i chropowatej grudzie. Piękne malowanki, uśmiechnięte obrazy na szkle znikły prędzej, niżby



— Psiakrymiuołka — krzyczał Tomek.

się kto spodziewał. Dom Tomka począł iść nowym torem, jakimś obcym, dalekim, bez owego cienia ochłody, w jakim zwykle powinno się znaleść każde gniazdo rodzinne. Złowroga fala odrazu zaczęła podmywać spokojne dotąd progi, zdzierać z nich połysk ukołysanego w nadziei — szczęścia. Z dalekich stron przybyła fala odrazu zabrała się do zdzierania wygładzonej jako tako powierzchni: odłupując drzazgi, gryząc nawet sęki

Każde z domowników czuło się jakoś inaczej, niż dawniej. Niemiłe przygnębienie kładło się po progach, szczerząc szydercze kły, rzucając bezlitośnie ironiczne spojrzenia. Zmora siadła na ludzkich sercach i pospinała je jakąś zaklętą pajęczyną.

Wszystko się zmieniło.

Jędrzej klęczał na skrzyni, mając owiniętą chorą nogę jakimś porzuconym przez dzieci gałganem. Klęczał, odmawiając z książki półgłosem wieczorne pacierze. W drugiej izbie hałasowały dzieci, dodając: bardzo wesoło. Dziadek się zżymał, ilekroć myśl nabożna uleciała mu w tamtą stronę zgiełku i dziecinnej beztroski. ... Cóż miał robić?... Nie jego dzieci, nie jego już nawet dom. Zdaje mu się czasami, że tutaj wszyscy patrzą na niego, jako na obcego, zupełnie obcego. Głos każdego ma tu jakieś znaczenie, tylko nie jego. Zaczyna widzieć i czuć, że jest niczem. Puste zero. Jakże trudno w to uwierzyć człowiekowi żyjącemu. Człowiekowi, który nawet przy zgonie nie jest w stanie uwierzyć, aby już był zbyteczny i misja jego na ziemi skończona. Dziadkowi nie pozostaje nic innego, jak tylko wziąć do ręki starą, rozłażącą się książkę, na której nawet modlitwy szczerniały od ciężkich, twardych, okurzonych trudami życia palców. Czyta. Z trudem czyta, bo poplamione i rozlane potem litery zamieniają się w dziwaczne kształty, rozłażą i rozpływają w nieczytelną plamę. Jędrzej czyta i co chwila staje. Gdzie brakuje wyraźnych liter, tam przywołuje pamięć. Nie wielka sztuka. Niemal wszystkie modlitwy zna na pamięć. Żeby tylko nie ten hałas, żeby nie te dzieci...

A Bóg patrzy i słucha. Patrzy na szczerniałe karty i sądzi swem przenikliwem okiem długo i sprawiedliwie. Z tych oto plam sądzi żywot znoju i trudu, żywot, który był równie zroszony potem, jak ta modlitwa, wychylająca się z za czarnej plamy zasmarowanej kartki. Bóg patrzy i sądzi w milczeniu wielkiem; tak wielkiem, że przed ową ciszą mocy zaczyna drżeć wszelki świat. A Bóg patrzy, czyta... Czyta w skupieniu, wyręczając osłabione oczy starca; czyta modlitwę sam i do siebie. W niebie robi się jaśniej, ziemska golgota zrasza się rosą anioła pocieszyciela. Wszak Bóg się modli.

Stary dziadzio pochyla się, pochyla... Śpi. Dzieci hałasują dalej, lecz on tego nie słyszy. Książka otwarta — ledwie w rękach się trzyma... Dziadzio śpi.

Bóg się modli.

Ludzie nie mają czasu na chwilę roztrząsań własnego sumienia. Nie mają, bowiem zabiera im go trud, zmęczenie, zdrożne lenistwo, lekkomyślne zapomnienie własnego jestestwa, własnych celów; pożera go zachłanność dnia, smutek, rozpacz z własnej niemocy, pogrążającej coraz bardziej ducha w topielisko nędzy, i wreszcie zbrodnia.

Biedny człowiek. Nawet nie danem mu jest być sobą; nie może poznać swych myśli, dążeń i pragnień. Nie wie, czem lub kim był wczoraj, kim będzie jutro, ani — kim być powinien jako oś wszelkich stworzeń, jako regulator olbrzymiej machiny bytu. O, ironjo! O wzorze doskonałości! Gdzieżeś zapodział swój sens, swą logikę serca i rozum?

Patrz!

Bóg modli się sam.

Stary dziadzio sobie śpi i książkę zaciska mocno, mocno ku sobie — ku piersi. Skołatane serce uderza wolno, z rowagą: jeszcze krok, czy już stanąć... Jeszcze, jeszcze.

A Bóg się modli.

Sam jeden za świat, za ludność całą, za wszelkie drgnienia bytów w przestworzach bez dna i końca. Świątynia hymnów rozbrzmiewa psalmodją słowiczej tęsknoty od wschodu zórz do zenitu niedosięgłych gwiazd, do bezkresnej toni fal morskich. W upojeniu kadzidlanych dymów upływa krótki dzień wieku, bez snu i nocy. Tylko wejść do otwartej świątyni, wejść, otworzyć oczy...

Bóg kadzidła pali.

A ludzie? Po ugorach chodzą, nowe światła zapalają, nowych dróg szukają i nowych bóstw. Do wszechświata kaplicy rzadko wchodzą, bo ona jest rzekomo zaciasna, zamała dla takich „wielkości". Gdy tam wejdą na koturnach swego rozumu, głowami sięgają sklepienia twardych złomów, uderzają łysemi czaszkami o mur, lecz nie mogąc się schylić w swej dumie wielkości, wychodzą, aby iść, aby pełzać... gdziekolwiek, byle jaką ścieżką własnych urojeń.

A stary Pan Bóg kadzidła pali.

Zaś tamci płyną z burzliwą falą nicości, płyną zespoleni z jej jądrem ponęt ułudy. Płyną, bo zawracać nie mogą, gdyż brak im sił oraz odwagi.

Ziemska otchłań morza grzmi lękliwym pomrukiem grobowych tajni, straszy wnętrznościami swych czarnych czeluści.

Zaś w wielkiej świątyni kadzidła i zorze się palą. Na ołtarzach ludzkich serc miljony świec goreje nadziemskim ogniem wielkiego umiłowania ciszy i tajemnic cudów prawdy, zamkniętej w kryształowym świecie piękna wszelakiego.

Tylko wejść!

O to się modli Bóg i kadzidła pali.

— —

W sąsiedniej izbie powstał nagle wielki hałas. Doraźny krzyk Tomka górował nad jajczeniem kobiet: Zośki i matki, potęgując się w miarę wzrostu ilości wyrzucanych słów.

— Psiakryminołka!... — krzyczał mocno podrażniony Tomek, trzymając w ręce klucze od komory — psia... tego już za wiele. Dokąd ja mam cierpieć, żeby u nas wciąż coś ginęło: raz to, drugi raz tamto. Co to jest? Skąd się tu wzięli naraz złodzieje? Do kroćset...

— Cóż ci znów zginęło? — anielsko-niewinnym głosem odezwała się Tomkowa baba.

— Juści... cóż? jeszcze się pytajcie! Chciałem zasiać konicz, lecz teraz... chyba popiołem obsieję pole. Złodzieje!

— Co ty pleciesz.

— Pleciesz... Koniczu niema.

— Wszystkiego?

— Psia... Wszystkiego... O wszystko się pytasz? Pewniebyś chciała, aby złodziej wszystko wziął, bo mało dwie kwarty... Cóż zostało? Na pół stajenia nie starczy.

— Cóż to za gadanie: „żebym ja chciała"... Czy ja mam jakie spółki ze złodziejami, albo co? Pod pazuchą kluczy od komory nie trzymam: każdy chodzi, kiedy chce. Kontroli też nie trzymam nad nikim — chyba wiesz.

— Ty mi z kontrolami teraz wyjeżdżaj... Tu ani djabli nie wyznaliby się, co się teraz dzieje. Sami swoi w domu, a wciąż coś ginie, wciąż ktoś narzeka, czegoś szuka, o coś miałczy i skiałczy — a djabli z takim domem. Zośce jakaś wstążka, dziewczętom małym chustka na głowę, ze sąsieka słonina, z półki sadło, Kubie orzechy, aż wreszcie i konicz. Koniczu się zachciało. I czem ja teraz obsieję pole? Gdzie teraz chodzić za kupnem, kiedy już siać trzeba...

— Patrzałeś dobrze? może się gdzie wysypał. A może myszy zjadły, bo wciąż je słychać w komorze.

— Cóż ty myślisz, żem ślepy? Oho! dobrze wiem, jakie myszy latają po całym domu i co lubią gryźć. Gdzieś zaraz po weselu przywędrowały do nas. Kołacz w skrzyni im zasmakował i rozochocił.

— Chciałabym wiedzieć, do czego zmierzasz?

— Do tego, żeby złodziejskie myszy wygnać.

— Wyganiaj! Dawnoś to mógł zrobić; jeszcze zanim tu przyszłam.

— Jakoś nie było wtedy potrzeby.

— Aha! nie było! Pewnie dopiero odtąd, jak ja przyszłam... Pewnie. Przezemnie wszystko ginie. Dobrze wam, że macie na kogo zwalić.

— Ja tam nikogo jeszcze nie posądzam, ale konicz musi się znaleść, żeby nie wiem co. Róbcie, co chcecie! W domu zginęło, niechże domowi znajdą. Tu nikt obcy nie był w komorze, a dziecka o taką rzecz chyba winić nie można.

— Alem sobie weszła między złodziei; jeszcze człowieka pomówią... Pod sumieniem — jeszczem nigdy nikomu na makowe ziarnko...

Załkała bardzo żałośnie i wyszła z kuchni do wielkiej izby, zanosząc się spazmą płaczu i wylewając swą niewinność w potokach na prędce sfabrykowanych łez.

Tomek zwrócił się do dzieci:

— A wyście nie widziały kiedy, żeby coś matka niosła ze sobą, jak idzie do tej swojej oblubienicy?

— Oni zawsze tak wychodzą, co nikt nie widzi — odezwał się Kubuś.

— Cóż z tego, choćby nawet ktoś wiedział — wtrąciła się Zośka — kiedy wychodzą; przecież im nie można zaglądać, co mają pod chustką.

Nadszedł także Franek ze stajni oraz dziadek, z książką i różańcem w ręku. Franek, zmiarkowawszy całą sytuację, zaczął docinać po swojemu:

— Zachciało ci się baby — to masz! Teraz ci się już nie cnie, bo wciąż masz coś nowego. Różności masz: słone i niesłone — jak się trafi...

— Ino tak nie góruj, bo jeszcze niewiadomo kto jest tego sprawcą. W domu jest więcej ludzi — toś powinien wiedzieć. Za nikogo teraz ręczyć nie można.

— Pewnie, pewnie... dziecka konicz wzięły do bawienia, albo zjadły zamiast maku. A... może ja z Jędrzejem? Innych ludzi już niema.

— W sam raz. Nie napaśliśmy się jeszcze... Nie wymawiam, ale spodziewałem się innej podzięki. Przez całą wojnę, gdy ciebie nie było, zganialiśmy do kupy, aby rozkraść, jak tylko wrócisz... Po prawdzie: na takie rzeczy było dosyć czasu i okazji, szkoda tylko, że złej myśli nie było! Nie miałaby już wtedy twoja baba czego zmiatać i wynosić do swej córuchny. Szkoda... byłby przynajmniej teraz spokój.

Tomek odrzucił stronę ironiczną, a czepił się rzeczy właściwej.

— Widziałeś, jak wynosiła?

— Wszyscy widzą, jak jej zawsze coś sterczy z pod pachy, ilekroć wybierze się do tej swojej cielisi, co bez cycka ani dnia wytrzymać nie może. Czemu nie idzie prostą drogą, tylko kołuje jak liska? Stary hyrc!... Jak śmie tak dziecka okradać? Tu tyle jest tego drobiazgu, a ona jednej, co chłopa ma, wszystko chciałaby wepchać... Niechże raczej siebie tam wepcha...

Ta śmiałość Franka ubodła nieco Tomka. Tyle pewności siebie — to trochę za wiele.

— Chcielibyście tego wszyscy, bo się wam znów rządów zachciewa. Ale niedoczekanie wasze!

— Ady... cieszcie się, cieszcie rządami! Gospodarujcie! Tylko się spieszcie, bo wnet może nie będzie na czem gospodarzyć.

— Do kroćset!... Same mądrale! Nawet łyżki do gęby liczą. Pobożności udawać... znają was! A ja wam zapowiadam: jakby tak dalej iść miało, tak muszę zrobić jakiś porządek!

— Rób, rób! Wiem, o czem myślisz: babusia twoja już to wypuściła ze swego kieratu. Ja z Jędrzejem zawadzamy wam — dobrze. Ludzie nam miejsce zrobią: dla mnie się służba znajdzie, a Jędrzej ma córkę jedną i drugą. Przecież niema nigdzie napisane, że musimy umierać na swej ojcowiźnie; że musimy wycierać te kąty, gdzie się kości zdarło. Nie, tego niema nawet w Piśmie Świętem. Świat szeroki, a ludzi ze sercem wszędzie znaleść można. Choć wojna dużo popsuła, ale znów tak źle nie jest, jak niektórzy opowiadają.

Tomek trzasnąwszy drzwiami, wyszedł do sieni, skąd mimowoli kroki jego skierowały w stronę izdebki. Wszedł nie patrząc na szlochającą w kącie

babę. Oparł się o framugę okna i zaczął palić jeden papieros po drugim, strzepując popiół w doniczki, pełne mirtów, pelargonij angielskich, wybujałych fuksyj, krzaczastych róż, oraz wzorzystych begonij, których liście lśniły się w słońcu wspaniałym aksamitem. Lecz Tomek oparł się o nie plecami i patrzał tępym, znieruchomiałym wzrokiem na brudną podłogę. Patrzał, lecz nie widział ani brudu, ani podłogi, ani plam słonecznych, przedostających się przez zmatowane szyby dwóch okien, mocno upstrokacone przez muchy. Cieżko i ciasno zrobiło się w jego głowie, mózgu, oczach i w wszystkich nerwach. Nieznanym instynktem zaczął odczuwać, że dzieje się coś źle wkoło niego, że nad nim samym zwisa jakiś pomost klątwy, że — co gorsze, nietylko nad nim, ale nad całym domem. Myśl tę starał się zdusić, zgnieść w zarodku, znieczulić ostrym dymem tytoniu. Daremnie. Ona jedna wgryzła się w nerw jego tętna krwi, zakorzeniła się, ona jedna omotała wszystkie przebłyski myśli i czucia. Zawładnęła nim zupełnie. Nawet się nie spodział, kiedy się to stało.

W głowie Tomka i w izbie, obielonej na Wielkanoc, robi się coraz ciemniej od dymu i trucizny. Czułe mirty kurczą listki i opuszczają wdół. Gdybyż to Zośka widziała!... Wszak je do ślubu chowa i pielęgnuje jak oka w głowie. W tych zielonych gałązkach pieści swe marzenia, niewinne, lekkie, jak płochość młodości, żywe — jak drganie wiosennego słonka, gdy wytoczy się nad zrąb tej topoli, co stoi na równinie — pod Bożą Męką. Przecudne marzenia o śnie życia, zaklęte w ciemną zieleń gałązek mirtowych, schylają się ku brudnej ziemi, zatrute jadem codziennych a niskich zabiegów, podłością ludzkich żądz i słabości.

Słonko! pal, grzej, niszcz jad! Bóstwo życia odwiecznego, przybądź! Wiośniany uśmiech, zaklęty w granit głazu, czeka na wyzwolenie.

Słońce!

W izbie nieswojska cisza. Jedno i drugie milczy w dziwnej i tajemniczej obawie. Jakiś niewidzialny wróg czai się w ukryciu, oczekując sposobności. Trzeba się zamknąć w ciszę. Bo któż wie, co się kryje za tą wątłą tamą? jaka lawina, jaki nurt niszczącej fali?

— Siej, człeku, co chcesz — decyduje się odezwać Tomek, niby sam do siebie. — Ale... co się będę znów tak uganiał; nie wiem, czy wiosny doczekam; piersi grają jakby w sieczkarni. Robicie źle — sami z tego będziecie korzystać. Mnie już niedługo. Zresztą, niema dla kogo żyć, nic mię nie łączy ze światem. Czas dobiega.

Baba widząc, że Tomek zaczyna wpadać w osłabiający sentyment, odsapnęła nieco — i przez ciurki „suchych“ łez, momentalnie gdzieś się zapadających, zaczęła prawić swoje żale i wywody:

— Mnie tylko wszyscy widzą, mnie podzierają — jak więźnia jakiego... Gdybym chciała do kryminału — to na Wiśnicz też nie byłoby mi dalej... Alem trafiła, oj, trafiła! Przyszłam na służbę, lecz nie wiem do kogo, bo wszyscy rządzić, jeździć, kręcić, jak psim ogonem. Dziadek, Franek, dziecka — chodzą po komorze, strychu, śpichlerzu, wszystko przewracają, lecz jak coś zginie — to na mnie wszystko, ja wtedy winna. Miałam już nie pedzieć, ale jak tak wszystko na udry — to powiem...

Urwała, udając, że niby tylko z musu odważy się na wyjawienie tajemnicy. Ale gdy Tomek siedział dalej nieporuszony, pociągła swą opowieść dalej.

— Sama widziałam, jak ten wasz, niby święty, dziadek niósł coś w chustce od nosa, gdy szedł do Zaskrzypia. Hanka ma dużo pola; pewnie jej koniczu zabrakło... Nic bym nie pedziała... Dziadek sobie myśli, że co jest tu — to jego, i wolno mu brać, ile chce. Mogłabym przysięgać. Co tu — jego, a córce dać mu wolno. Gdyby Franek miał kogoś, teżby wynosił z domu; oni wszyscy jednacy. Są teraz bezpieczni, bo mają pokrywę ze mnie. Ale ja się nie dam; raczej złodziei z domu wykurzę.

— Dziadek?... dziadek miałby zabrać konicz?

— Cóż się dziwisz? Ci, co wciąż z różańcem chodzą i pacierze klepią cały dzień — są najgorsi.

— Hm...

— Mogę przysiądz.

W izbie ściemniało zupełnie; prawdopodobnie gromowe chmury zakryły horyzont.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Jak wiadomo, kapusta jest jedną z najbardziej rozpowszechnionych u nas jarzyn, która zajmuje bardzo wydatne miejsce, w ogólnej ilości wszystkich naszych produktów spożywczych i przeto bardzo ważnem jest pouczenie prof. Brzezińskiego w jego cennej książce, traktującej o hodowli warzyw, tyczące się końcowych faz uprawy kapusty oraz jej zbiorów, z którego wyciąg poniżej zamieszczamy:

W miesiąc mniejwięcej po posadzeniu kapusty przychodzi pora oczyszczenia jej i okopania. Wykonanie tej roboty w porę jest rzeczą dla hodowli bardzo ważną, gdyż kapusta zarośnięta zielskiem słabnie w wegetacji. Narzędziami ręcznemi oczyszcza się kapustę i okopuje, jednocześnie uważać tylko należy, by serca (środki) roślin nie były zasypane ziemią. Używając narzędzi konnych, najprzód oczyszczamy ziemię między linjami piękniem, następnie robotnice oczyszczają linje same motykami, a później dopiero puszcza się między linje obsypnik. Za obsypnikiem musi iść robotnica, która obsypanie, gdzie potrzeba, poprawia, odgrzebuje rośliny zbyt silnie przysypane i prostuje skrzynie. Przed okopywaniem jest pora najwłściwsza do rozsypywania saletry chilijskiej, jeżeli jej dodatek uważamy za potrzebny.

Po oczyszczeniu i okopaniu kapusta rozrasta się silnie i sama już broni się od zielsk. Potrzebnem jednak bywa, w miesiąc mniejwięcej po okopaniu, przerwać jeszcze zielsko, jakie się wydobywa z pomiędzy liści kapusty — będzie go zazwyczaj więcej tam tylko, gdzie z jakichkolwiek przyczyn kapusta jest rzadka, lub rozwija się słabo.

Po sformowaniu się wielkich, poziomo rozkładających się liści, rozrasta się wierzchołek kapusty w to, co nazywamy głową, a co jest właściwie do olbrzymich rozmiarów rozwiniętym pąkiem wierzchoł-

kowym. Jeżeli pąk wierzchołkowy uległ w jakikolwiek sposób zniszczeniu, to na jego miejsce rozwinąć się może dwa, trzy lub cztery pączki boczne, dając początek tyluż główkom, tylko znacznie mniejszym. Formowanie się głów kapusty ma miejsce u nas pod koniec sierpnia, przez wrzesień i październik. Głowy doszły wówczas, gdy osiągnęły największe rozmiary i są twarde. Barwa zewnętrznych liści głowy zmienia się wtedy z intensywnie zielonej na jaśniejszą. W takim stanie trzymać się one mogą czas jakiś, jednak niezbyt długo, gdyż o ile środek głowy rozrasta się silnie dalej, n. p. gdy czas jest dżdżysty a ciepły, zewnętrzna warstwa liści składających głowę nie może wytrzymać parcia i pęka, a przez szparę wydobywa się środek głowy, zaraz na słońcu zieleniejący. Tak spękane i pozieleniałe głowy tracą wartość.

Do pewnego stopnia obronić można kapustę od pękania przez przerywanie jej wzrostu. W tym celu rośliny, mające wielkie już i twarde głowy, a zatem mogące uledz spękaniu, podrywa się silnie tak, by częściowo poprzerywać im korzenie, poczem obdeptuje się koło nich ziemię, by się nie przewracały. Osłabia to chwilowo wegetację, a zatem chroni od pękania, możliwem jest jednak do wykonywania tylko przy hodowli na małe rozmiary. Najpraktyczniej zazwyczaj będzie ,gdzie tylko jest zbyt możliwy przedwcześnie zwijające się i twardniejące głowy wycinać i sprzedawać, tembardziej, że cena kapusty we wrześniu i początkach października bywa najczęściej — wyższa niż później.

Kapustę późną wycina się w ciągu października, najczęściej od połowy tego miesiąca. Wczesne przymrozki, a nawet mrozy do — 8° C. znosi ona na polu bez większej szkody i za powrotem do pory cieplejszej przychodzi do siebie. Traci jednak w takim wypadku dużo na wadze. Rozsądek też nakazuje nie czekać z kapustą w polu, aż do nadejścia temperatur tak niskich. Wyciętą kapustę oczyszcza się ze zwierzchnich, zielonych liści, i w takim stanie idzie ona na przeróbkę lub handel.

Przechować można wyciętą kapustę aż do końca grudnia, przez umieszczenie jej na półkach w chłodnej piwnicy. Do dłuższego przechowywania musi być wyjmowaną z ziemi z korzeniami i sadzoną bądź w chłodnej piwnicy, bądź w dołach na gruncie. Doły kopie się w ziemi przepuszczalnej, na 40 do 50 cm. głębokości; powinny one być dość wąskie dla ułatwienia nakrywania, a długości zastosowanej do długości kapusty, jaką przechować zamierzamy. Na dnie dołu sadzi się kapustę, oczyszczoną z liści odstających; zielone liście, okrywające głowy należy zostawić, gdyż chronią ją one od przemarzania i gnicia. Głowy nie powinny dotykać jedna drugiej. Z nadejściem przymrozków robi się nad dołem rusztowanie z kołków lub desek, które ma podtrzymywać nakrycie; może to rusztowanie być zrobione płasko lub co lepiej — daszkowato. Jako nakrycie dajemy grubą warstwę słomy, łęcin, jakichkolwiek liści, słomiastego nawozu itp.; można ostatecznie przykryć warstwą słomy, a na to ziemię, jeżeli tylko rusztowanie jest w stanie ciężar jej utrzymać. Dopóki niema silniejszych mrozów w zimie, w czasie odwilży, należy w pewnych miejscach nakrycie usuwać i kapustę przewietrzać. Tak traktowana przechować się daje w zupełnie dobrym stanie do wiosny.

W przepuszczalnej ziemi i dość suchem miejscu przechowywać można kapustę przez proste zadołowanie jej. W tym celu wykopuje się dół i sadzi w nim kapustę, jak poprzednio, poczem dół się zasypuje, a za nadejściem silniejszych mrozów przykrywa się jeszcze lekko ziemię łęcinami, liśćmi, słomiastym nawozem lub t. p. Można także, wykopawszy dół, w miejscu sadzić kapustę, układać ją w nim głowami na dół, a korzeniami do góry, dół zasypać i nakrywać jak poprzednio. Ma to na celu ułatwienie odpływu wody, jaka znajdować się może między liśćmi, składającemi główkę. Przy sprzyjających warunkach i jeden i drugi z tych sposobów wydaje dobre rezultaty.

Hodowla późnej kapusty dawała u nas, przed wojną przy odpowiednich warunkach i normalnym zbycie około 200 koron austr. czystego dochodu z morgi.

Profesja djablo wesoła...

(Humoreska z rosyjskiego.)

Nie znoszę, by mię odrywano od zajęcia, wpadam wtedy w wściekłość.

Właśnie dziś zadzwoniono do telefonu.

— Hallo! Cóż tam znowu?

— Mówi biuro pogrzebowe pod firmą „Prostota i Luksus".

— Czego trzeba?

— Przed chwilą zakomunikowano nam, że u pana stało się nieszczęście.

— To zależy z jakiego punktu widzenia... — odparłem ironicznie — z waszego czy z mego?

— Co takiego? Nie słyszę.

— Pytam: kto wam powiedział?

— Nie wiemy. Przed chwilą zawiadomiono nas; prawdopodobnie zatem u pana. Męstwa, panie!

— Dlaczego, po co?

— Jakże panie... taka strata... Rozumiemy przecież...

— Więc czego wam trzeba?

— Pozwoli pan przysłać naszego agenta?

— Ależ proszę! Jeżeli, naturalnie, niema on czego lepszego do roboty, a ma godzinę wolnego czasu...

— Ależ naturalnie! Hasłem naszem: wszystko dla klijentów!

— Prześliczne hasło.

— Kto miał z nami raz choćby do czynienia, ten na zawsze pozostanie naszym klijentem...

— Rzecz prosta, — zgodziłem się. Myślę, że i ja nie uniknę swego losu.

— Co pan mówi?

— Mówię do widzenia.

* * *

Wesoły jegomość przyszedł. Agenta biur pogrzebowych można odróżnić od zwykłego tylko z tyłu; z przodu ma on takiż sam wygląd jak każdy inny człowiek. Ale jeżeli zajdzie mu z tyłu — to odrazu rzuci się nam w oczy charakterystyczna cecha agenta pogrzebowego: oto metalowa sprzączka czarnego krawata zawsze wystaje z pod kołnierza surduta na cal wyżej, niżby tego sobie życzyć należało... Niekiedy zdarza się, że żona takiego agenta, albo jego przyjaciel serdeczny, zwrócą mu na tę niewłaściwość uwagę, ale wszystko napróżno. Natura tak chce. Otóż, wszedłszy do gabinetu, agent się skłonił, błysnął metalową sprzączką od krawata i rzekł:

— Męstwa panie!

— Siądź pan — zaproponowałem spokojnie. — Bardzo byłoby mi miło, gdybym mógł mu być w czemś użytecznym.

— Wszyscy tam będziemy — zauważył agent w sposób dość niejasny.

— Jedni wcześniej, inni później — zrobiłem niezbędną uwagę...

— Tak! — zgodził się. — I pytam się: po co człowiek żyje na świecie?

Westchnąłem.

— Ha, trudno. Męstwa panie!

Umilkł, potem delikatnie a przezornie zapytał, badając nieznany grunt:

— Czy to była blizka panu osoba?

— Niewątpliwie. Od swego przyjścia na świat.

— Aha! Dziecko?

— Prawdziwe dziecko.

— Chłopiec, dziewczynka?

— Jeżeli wybierać z tych dwóch kategoryj, to była to raczej dziewczynka.

— Jej „tam" będzie lepiej! Dziecina nie miała czasu jeszcze nagrzeszyć, a przytem zgotowane ma tam życie archanielskie...

— O, gdyby kto mógł mi to gwarantować, — westchnąłem. — Gdyż oto mam pewne podstawy mniemać, że nagrzeszyła ona w swojem życiu dość.

— Zlituj się pan! Jakież mogą być jej grzechy? Jeśli nawet zasmucała pana swemi zbytkami, to czyliż może pan mieć w swem sercu coś przeciwko temu dziecięciu?

— Pan zbyt jej schlebia nazywając ją „dziecięciem" — zauważyłem. — Prawda jest, że wyglądała dość młodo, wszelako, tak czy owak, trzydzieści i sześć latek spełniło się jej...

— 36 lat! — zdziwił się agent — a przecież paneś mówił, że to prawdziwe dziecko?

— I teraz to powtarzam. W kobiecie, drogi panie, zawsze tkwi nadzwyczajnie dużo z dziecka!

— Męstwa, panie — rzekł agent. — Strata kochanej kobiety — jest to wielka boleść, ale nie należy rozpaczać. Rozpacz jest wielkim grzechem!

— Nie sądzę, aby ten grzech był mi właściwym.

— Jeżeli panu będzie już za ciężko na duszy, to pomódl się pan. Modlitwa zmniejsza mękę, a jej tam lżej będzie.

— Dziękuję. Pańskie rady są dla mnie balsamem kojącym. Dalibóg, pański zawód...

— Każdy ma dziś swój zawód... — skromnie zgodził się agent. — I jeszcze to panu powiem: żyj pan nadzieją, że jeszcze kiedyś spotkasz się tam z nią. Wcześniej czy później każdy człowiek umiera. Jeżeli umarł wcześnie — to mało nagrzeszył, jeżeli zaś późno — to grzechy jego zwiększyły się...

— Proporcjonalnie do lat przeżytych.

— Proporcjonalnie do lat przeżytych — męstwa, panie! Pierwsze chwile po stracie okropne są, ale potem, stopniowo wszystko zapomina się. Pan możesz spotkać inną, pokochać ją i być z nią jeszcze szczęśliwszym. I myślę, że umiłowana nieboszczka da panu swą pozagrobową zgodę na to pańskie szczęście...

— No, co do mnie, to myślę, że w tej sprawie nie będzie ona miała nic do powiedzenia. Przeciwnie, ona za życia wciąż chciała mnie ożenić!

— Oczywiście, to nie jest znów tak ważne... I jeśliś ją pan kochał jak żonę, to i bez ślubu Kościół przyjmie ją na swe łono.

— Pan jesteś na błędnej drodze — uśmiechnąłem się smętnie. — Ja nigdy jej nie kochałem jak żonę, bo była ona tylko moją dobrą ciotką.

— Przepraszam, nie zrozumiałem pana. A zatem stracił pan swoją kochaną cioteczkę?

— Niestety!

— Cóż robić! Wszyscy będziemy tam, i ani jeden człowiek nie uniknie swego losu. Naturalnie, ciężko jest stracić kochaną ciotkę, ale jeszcze ciężej jest stracić drogą żonę albo najdroższe dziecko...

— To prawda — potaknąłem z cichym smutkiem. — Ciotek wiele, a żona tylko jedna!

— Prawda, że mam rację? — ożywił się agent. — I ciotka ciotce nie równa. Zdarzy się czasem taka ciotka, że niech ją wszyscy djabli...

— Zdarzają się czasem ciotki — wiedźmy — potwierdziłem sentencjonalnie.

— Che-che-che! To racja. A ja panu to jeszcze powiem, że niejeden kljent skacze pod sufit, jeżeli ciotka nogi wyciągnie... Naturalnie jeżeli zmarła ciotka jaka bogata, i zostawiła huk pieniędzy.

— Wyobraź pan sobie: moja nieboszczka ciotka też kierowała się dobremi zasadami w życiu, bo zostawiła mi 40.000 rubli.

— Ależ z pana figlarz! — zaśmiał się agent, klepiąc mnie po ramieniu. — Pan sobie żarty stroi, a ja go tu pocieszam, uspakajam... W takim razie powinszować, powinszować... To też spodziewam się, że przy takim kapitale wszystko będzie jak należy.

— I tak już jest wszystko, jak należy — uspokoiłem agenta.

— Che-che-che! Dalibóg, przyjemnie mieć do czynienia z takimi jak pan kljentami! Więc pozwoli pan teraz zdjąć miarę?

— Jaką miarę?

— Na trumienkę.

— Po co? Ze mnie zdejmować — jeszcze za wcześnie, z ciotki — za późno.

— Dlaczego zapóźno? Jest to rzecz najłatwiejsza w świecie. Nieboszczka pewno w sąsiednim pokoju?

— O, nie! Skądżeby znowu?

— Czy może czeka we własnem mieszkaniu?

— Nie sądzę, aby oczekiwanie na cośkolwiek było dziś jej właściwością.

Agent podniósł się, przyjrzał mi się i spytał:

— Czy pańska ciotka rzeczywiście umarła?

— O, mogę to panu zaręczyć.

— I rzeczywiście potrzebuje pogrzebu i trumny?

— Jakby to panu powiedzieć... Przypuszczam, że co się tyczy pogrzebu — to jest jej to obojętne, co się zaś tyczy trumny... Nowa, dobra trumna przydałaby jej się niewątpliwie... Zresztą, nie wiem, jak tam u nich...

— Ależ panie! U nas wszystkie trumny nowe!...

— U was tak, — rzekłem ironicznie — ale u nich nie zawsze tak. Myślę zresztą, że nie byłaby od tego, aby jej zmienić starą, zbutwiałą trumnę na nową...

— Pardon, wybaczy pan... — zawołał z pomieszaniem agent, trąc czoło. — Pan powiada, że pańska ciotka umarła... kiedyż więc ona umarła?

— Trzy lata temu. Męstwa panie!

— W takim razie... pocóż pan mnie zawezwał?!

— Alboż ja pana wzywałem? Pańskie biuro samo do mnie zatelefonowało i zaproponowało przysłać do mnie pana!

— Ale pan mnie odrywa od roboty...

— Pańskie biuro mnie także oderwało od roboty. Zresztą, nie rozumiem pana: zamiast, by cieszyć się, że u mnie wszystko w porządku, pan jeszcze rzucasz się, dlaczego u mnie niema nieboszczyka...

— O, więcej już nie uda się panu nigdy mnie znęcić do siebie — zauważył agent szukając kapelusza.

— O, jakżebym ja pragnął tego! Widzi przecież pan sam, że interesy nasze zbyt się rozchodzą: co jest złem dla nas, to jest dobrem dla was.

— Psie życie! — burknął agent, obracając się do mnie plecami i jeszcze raz podkreślając swą metalową sprzączką swój humanitarny zawód. Psi zawód!

— Wszelako i taki jest lepszy od śmierci, — odparłem filozoficznie, odprowadzając go do drzwi...

KRONIKA.

Jaka będzie pogoda we wrześniu? Meteorologowie przepowiadają, że pierwsza połowa września przyniesie nam pogodę zmienną i raczej wilgotną, natomiast druga połowa września ma być bardziej pogodną. Specjalnie niekorzystnie mają się przedstawiać warunki atmosferyczne około 12-go oraz koło 25 września, albowiem wówczas grozi trzęsienie ziemi.

Pierwsze dni następnego miesiąca mają być wietrzne z lokalnemi opadami i zmiennem zachmurzeniem. Będą jednak dni dosyć ciepłe i przyjemne, koło 6-go pogoda z silnym wiatrem, burzami i deszczem. Noce chłodne, potem na krótko poprawa pogody. Koło 11-go zaczyna się dłuższy okres burz, wiatrów i opadów, potem koło 17-go wypogodzenie. Dnie słoneczne i ciepłe, noce chłodne. Około 25-go znowu zachmurzenie, pogoda deszczowa, wietrzna ze skłonnością do burz.

Na południu i zachodzie Europy niebezpieczeństwo katastrofalnych burz. Możliwe również wstrząśnienia ziemi. Dnie suche a noce chłodne, nad ranem silna mgła.

Pożar Dubiecka. Z Przemyśla donoszą: Dnia 23 bm. wczesnym rankiem przemyska straż pożarna została zaalarmowana drogą telefoniczną o wielkim pożarze wybuchłym w rodzinnem mieście Krasickiego, Dubiecku. Momentalnie przygotowano odpowiednią ekspedycję i w kilkanaście minut po otrzymaniu wieści pospieszono płonącemu miasteczku z pomocą. Dojeżdżającym do płonących domów strażakom przedstawił się zdaleka groźny widok. Z różnych stron miasteczka strzelały w górę ogniste słupy, płynące z gorejących domostw. W miasteczku ogromny ruch i zamieszanie. Z domów zagrożonych przez ogień wynoszono dobytek. Cały rynek i wszystkie ulice zatarasowane były przez nadciągające ze wszystkich stron oddziały straży pożarnych. Pożar szalał, przez pełnych 7 godzin. Spłonęło doszczętnie oprócz wielu stodół, gumien i składów, piętnaście domów, częściowo tylko ubezpieczonych. — Gdyby nie spokojny dzień i bezwietrzna pogoda, byłoby poszło z dymem niechybnie całe miasteczko. O przyczynie pożaru krążą po Przemyślu tysiączne wieści. — Pożar został spowodowany wskutek upadku i rozbicia się lampy naftowej w domu jednego z mieszczan.

Fatalne skutki wróżbiarstwa. Ze Stanisławowa donoszą: Do miejscowości Jezierzany przybyła onegdaj grupa wędrownych cyganów i rozpoczęła swoje rzemiosło, wróżenie. Jedna z takich przewidujących, Hania Korsuk, z Cinkowy, pow. Sambor, udała się do pobliskiej chaty, gdzie złapała za rękę Stefana Chromyja, parobka i zaczęła mu płynnie wyliczać, jak to będzie on szczęśliwy i ilu zaszczytów dostąpi w najbliższym czasie. Nie okazała się jednak bezinteresowną i za tak dobre wieści pobrała sutą zapłatę. Tymczasem dzień za dniem mijał, a wróżby nie chciały się sprawdzać. Wówczas rozgniewany Chromyj, na spółkę z niejakim Zołotorczukiem zaczął poszukiwania za cyganką. Spotkał ją niedługo w pobliskim lesie i zażądał kategorycznie zwrotu pieniędzy za wróżenie. Gdy cyganka nie chciała o tem ani słyszeć, zbił ją Chromyj po twarzy tak mocno, że zalała się krwią, poczem wyrwał jej z kieszeni karty, tytoń i kilkadziesiąt złotych gotówki, a następnie zbiegł. Cyganka nie dała za wygraną. Zawiadomiła o wszystkiem policję, która obu parobków aresztowała pod zarzutem zbrodni gwałtu publicznego i rabunku.

Burzliwy wiec. Z Kołomyji donoszą: Onegdaj odbywał się uroczysty odpust gr. kat. w Ispasie pod Kołomyją. Z okazji licznego zjazdu włościaństwa z okolicy urządziła tam ruska partja polityczna, U. N. S. wiec polityczny, na którem przemawiali red. Stowpick, Dmytruch i Stafurak. Tymczasem agitatorzy wywrotowi, zwalczający partję ugodową zaczęli podburzać przecim nim tłum, tak, że wkrótce 4000 ludzi zajęło wobec nich wrogie stanowisko. Awanturom i przeraźliwym wrzaskom nie było końca. Tysiące rąk podniosło się w górę, a wreszcie na rozkaz ukrytego przywódcy zaczęto obrzucać mowców gradem kamieni. Na pierwszą wieść o zaburzeniach udali się na miejsce walki posterunkowi, pod których osłoną zdołali ujść atakowani cało. Tłum w dalszym ciągu ciskał kamieniami, od których dwu policjantów zostało ciężko kontuzjonowanych. Siła bezpieczeństwa w Ispasie została natychmiast zwiększona. Wojewódzkie władze policyjne rozpoczęły energiczne dochodzenia. Do czego to prowadzi rozpolitykowanie!

Niezwykła katastrofa samochodowa. W ubiegłym tygodniu na szosie Marymonckiej zdarzyła się niezwykła katastrofa samochodowa. Do Bielan zdążał ciężki samochód policyjny, wiozący 35 policjantów na ćwiczenia w ostrem strzelaniu. Podczas wymijania innego samochodu, szofer policyjny zjechał na brzeg szosy tak nieszczęśliwie, że policjanci jadący tym samochodem dostali się pod konary i gałęzie drzew przydrożnych. W jednej chwili 35 policjantów, ugodzonych konarami i gałęziami w twarz i głowę, okryło się ranami. Samochód zatrzymano. Wówczas okazało się, że 25 policjantów należy odesłać natychmiast do szpitala, gdyż potrzebują pomocy lekarskiej. Zawiadomiono szpital wojskowy przy ulicy Zakroczyńskiej, skąd przybyło pogotowie z lekarzami, którzy opatrzyli rannych na miejscu, zaś 9 ciężko okaleczonych policjantów przewieziono do szpitala. Na miejscu katastrofy był obecny minister spraw wewnętrznych generał Składkowski.

Pięciu mężów jednej żony. Ciekawa rozprawa odbyła się w rabinacie warszawskim. Rabinowi Riczewołowi wydawało się podejrzanem, że kilka podań, skierowanych tegoż dnia do rabinatu, zawiera z małemi zmianami taką oto treść:

„Kobieta, z którą zawarłem prawnie związek małżeński, żyła ze mną krótki czas. Katowała mnie i znęcała się nademną w niemiłosierny sposób. Na dobitek okradła mnie i wyrzuciła mnie z mieszkania. Nieustannie oszukiwała mnie i zdradzała z innemi mężczyznami. Upraszam zatem o rozwód". Podań takich znalazło się aż 5 naraz. Na wszystkich podaniach widnieje to samo nazwisko i adres: Fajga S. Rabin nakazał woźnemu zawezwać wszystkich 5 mężczyzn, którzy spoglądali na siebie z ogromnem ździwieniem. Rabin Riczewoł zapytuje, kto był ostatnim mężem Fajgi:

— Ja — odpowiada 70-letni zgarbiony staruszek Herszel S. z zawodu szewc, przyczem opowiada, iż 2 lata temu przyszła do niego swatka zamieszkała na Pradze, gdzie znana jest pod nazwiskiem Chaja Wróżka i namówiła go do zawarcia związku małżeńskiego z Fajgą, która posiada 5.000 złotych posagu.

Widział się z Fajgą, która mu się spodobała, poczem zaślubił ją. Z otrzymanego posagu kupili sobie mieszkanie na Wołyńskiej, gdzie Fajga do dziś zamieszkuje. W pierwszych kilku tygodniach było wszystko w porządku i nawet czuł się bardzo szczęśliwy przy boku swej młodej, bo 36-letniej żony. Później jednak zabrała mu pieniądze i jego rzeczy, zaczęła go bić i znęcać się nad nim i wreszcie wyrzuciła go zupełnie z mieszkania. Obecnie zaś — jak stwierdza S. — Fajga chce sprzedać mieszkanie.

Rabin wzywa pierwszego męża.

Jest nim 65 letni Simcha P., zamieszkały przy ul. Piwnej 7.

Pobrał się on z Fajgą 13 lat temu i żył z nią 3 lata w ciągłych kłótniach i awanturach, poczem opowiada jota w jotę to samo, co ostatni mąż. Wreszcie przesłuchani zostają pozostali mężowie.

Wszyscy mężowie mający razem lat 376, powiadają mniej więcej to samo o gorzkim zawodzie, jaki spotkał ich w związku małżeńskim z Fajgą. Gdy rabin Riczewoł wysłuchał wszystkich 5 mężów, zwrócił się w pierwszym rzędzie do gospodarza domu przy ulicy Wołyńskiej, ażeby nie puzwolił Fajdze sprzedać mieszkania, poczem wezwał Fajgę celem przeprowadzenia formalności, związanych z rozwodzeniem się z jej 5 mężami.

Rozhukane woły. Gdy przyjdą dnie upalne, suche, wylęga się wtedy ogromna masa różnych uprzykrzonych owadów, które dokuczają ludziom i zwierzętom. Człowiek używa różnych sposobów, bydlę zaś próbuje najpierw oganiać się ogonem, a gdy to nie pomaga, podnosi ogon w górę i pędzi naprzód.



Przed paru dniami zdarzył się na Węgrzech, na tamtejszych ogromnych pastwiskach tragiczny wypadek. Oto na pasące się stadò wołów spadła niejako cała chmura owadów zwanych gzami, i poczęła ciąć niemiłosiernie bydlęta. Te, oszalałe z bólu, rzuciły się do ucieczki, która niewiele pomagała. Woły bodły rogami co napotkały, rzucały się po ziemi i ryczały niemiłosiernie. W czasie tej walki z gzami potratowały kilka osób, które nie usunęły się im na czas z drogi. Wszystko uciekło w popłochu. — Obrazek nasz przedstawia napad tych owadów na stado wołów, które rozbrykane, rozpoczynają swą szaloną ucieczkę. Obok, w kółku, jest uwidoczniony ten nieznośny owad.

Cud w Konnersreuth. Prasa niemiecka drukuje liczne artykuły o cudzie w Konnersreuth. Do małej tej wioski położonej w Palatynacie, odbywają się od pewnego czasu formalne pielgrzymki. Z całych Niemiec zjeżdżają tam tysiące ludzi. Powodem masowych wędrówek do Konnersreuth są niezwykłe wizje 29-letniej kobiety, Teresy Heumann. Jeden z lekarzy tak opisuje cud w Konnersreuth: W małym domku krawca Heumanna, w schludnym pokoiku, leży chora od wielu lat Teresa. Ma ona od pewnego czasu wizje Męki Pańskiej. Zjawy są tak silne, że z oczu Teresy płynie od czasu do czasu cienka struga krwi. W okolicach serca krew występuje również i plami białą koszulę chorej. Wyciągnięte, długie ręce Teresy noszą na dłoniach ślady ran od gwoździ. Zjawiska te powtarzają się co piątek, przyczem koło południa następuje pewnego rodzaju kryzys i Teresa na pewien czas zasypia. Od 2923 roku Teresa Heumann nie spożywa nic, prócz płynów, gdyż z trudnością łyka. Waży przytem stale 55 kilogramów. W każdy piątek z powodu upływu krwi traci około 4 kilogramów, które odzyskuje do następnego piątku. Teresa Heumann była badana przez kilka komisyj duchownych i lekarskich. Między innemi przez parę tygodni pielęgnowały ją zakonnice, które nawet na chwilę nie oddalały się od jej łoża. Wszyscy zgodnie twierdzą, iż jakieś oszustwo jest tu wykluczone. Cała ludność okoliczna wierzy, iż Teresa jest święta. W kościele w Konnersreuth leży na jednej z ławek jej książka do nabożeństwa. Pobożna ludność składa tam kartki z rozmaitemi życzeniami w przeświadczeniu, iż Teresa zdziałać może cuda. Lekarze twierdzą, że wobec tego zjawiska są zupełnie bezsilni, gdyż nie mogą wytłómaczyć wizji Teresy ani histerją, ani sugestją.

Wartki język kumoszki. Sala sądowa jest nierzadko widownią humorystycznych epizodów. Nie pozbawiony typowej wiedeńskiej dobroduszności był wypadek, jaki niedawno zdarzył się przy t. zw. „pyskówce“ przed sądem w Grinzing. Pewna kumoszka, oskarżona o obrazę czci przez swoją sąsiadkę przez sianie o niej krzywdzących plotek, na pierwszej rozprawie dała tak obfity upust swojej wymowie, że sędzia, nawołując ją do powstrzymania wartkiego języczka, użył następującego popularnego zwrotu:

— Jak widzę, to pani nie darmo daje jeść swej buzi; jak się pani trochę przepości w areszcie, to będzie mniej skłonna do puszczania buzi na pytel.

Następnie celem przesłuchania nowych świadków odroczył rozprawę. Jakież było jego zdziwienie, gdy w drugim terminie gadatliwa kumoszka zjawiła się z dwoma olbrzymiemi naładowanemi prowiantem koszami na obu rękach...

— Co to ma znaczyć? — zapytał sędzia.

— Ano nic — odpowiedziała kumoszka, nie tracąc kontenansu. — Przyniosłam sobie tylko trochę jedzenia, abym jeśli pan sędzia mnie zasądzi, miała czem utrzymać moją buzię w ciągłym ruchu!

Samosądy w Bułgarji. Posucha, która tego lata panuje w wielu miejscowościach Bułgarji, która zniszczyła większą część plonu kukurydzy, oraz zbioru jarzyn i owoców, przyprawia ludność wiejską o rozpacz. W miejscowości Lopnica zabobonni chłopi przyszli do przekonania, że ta posucha jest karą Bożą, zesłaną z powodu grzesznego życia niektórych mieszkańców wsi. Zestawiono tedy natychmiast listę winowajców. — Z szeregów mieszkańców wsi wybrano uroczyście morderców, którym powierzono wykonanie tego iście średniowiecznego wyroku. Czterech chłopów skazanych przez ten sąd samozwańczy, zostało zamordowanych. Jeden z nich utrzymywał stosunki miłosne ze swoją szwagierką, inny sprzedawał fałszowane mleko przez cały rok, trzeci krzywo przysiągł, a czwarty uprawiał gry hazardowe. Skoro wiadomość o morderstwach popełnionych przez ten wiejski sąd kapturowy doszła do władz, organizatorzy tego sądu zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu.

Mówiące niemowlę. Wieśniaczka z Fano (we Włoszech), niejaka Eliza Vebini, powiła niedawno dziewczynkę, która już po pięciu dniach miała mówić i wszystko, co przy niej mówiono, powtarzała bez zarzutu bardzo dokładnie. Tem cudownem dzieckiem zainteresowały się fachowe koła lekarskie

Złoty medal za tysiąc dzieci. W francuskiej miejscowości Bracieux odbyło się wręczenie złotego medalu 80-letniej akuszerce, pani Monestes, która pomó-

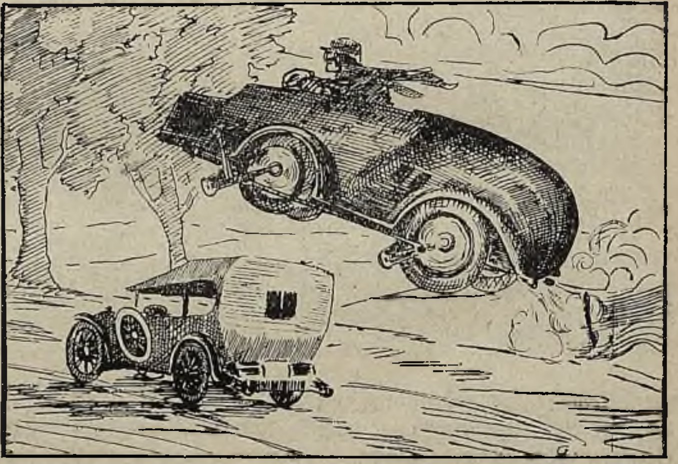
gła tysiącu dzieci ujrzeć światło dzienne. Pani Monestes jest najstarszą akuszerką we Francji.

Warjatki. Niedawno zmarł bardzo przystojny aktor filmowy, Rudolf Valentino, w którym prawie wszystkie bywalczynie kinowe kochały się na zabój. Miłość ta nie wygasła i po jego śmierci. Oto w Londynie powstało stowarzyszenie kobiece, którego celem jest obrona pamięci Rudolfa Valentino. Każda członkini stowarzyszenia zobowiązała się wznieść w swoim buduarze ołtarz, poświęcony słynnemu mistrzowi ekranu, nadto stowarzyszenie ogłosiło następującą proklamację: „Valentino był wielbicielem kobiet. Wzamian kobiety winny go czcić. Twierdzenie, że Valentino był zniewieściałym fircykiem, jest herezją. To miłość dla kobiet sprawiła, że umarł tak młodo". Wreszcie stowarzyszenie poleciło skomponować specjalne hymny na cześć umiłowanego artysty kinowego, a członkinie śpiewają je na każdem zebraniu. I czyż nie warjatki to prawdziwe?

300 wsi pod wodą. Donoszą z Władywostoku, iż powódź Amuru przybiera nienotowane w dziejach tej rzeki rozmiary. Koło 300 wsi znajduje się pod wodą. Zalane również zostały miasta Nikolsk, Ussuryjsk i Spassk. Wielkie przestrzenie orne zostały zniszczone. Komunikacja kolejowa pomiędzy Chabarowskiem a Władywostokiem została ostatecznie przerwana. Straty już obecnie obliczają na kilkanaście miljonów rubli, w ogólnym jednak rachunku suma ta ulegnie dalszemu powiększeniu.

Magiczne biurko. Jeden z największych jubilerów w Filadelfji w Ameryce padł niedawno ofiarą niezmiernie sprytnie wykombinowanego oszustwa. Przed sklep jego zajechało w południe wspaniałe auto, z którego wysiadł i wszedł do sklepu starszy już i wytwornie prezentujący się jegomość. Zażądał on naszyjnika z brylantów. Po pierwszych zaraz słowach kupiec musiał uznać w nim nielada znawcę tych drogocennych kamieni. To też pełen szacunku pokazywał mu coraz piękniejszy dobór klejnotów. Klijent był wybredny, szukał nadzwyczaj dokładnego stopniowania wielkości, najczystszej wody i doskonałości klejnotu. Wreszcie, gdy oświadczył, że nie zależy mu zupełnie na wysokości ceny, byleby znalazł coś niepospolitego, sprezentowano mu dwa olbrzymiej wartości klejnoty, z których jeden został nareszcie przezeń wybrany. Nabywca, odstępując od utartego szablonu oszustów, nie podszywał się pod żadne arystokratyczne nazwisko, natychmiastowego, nieuregulowania rachunku, nie tłumaczył nie zabraniem ze sobą pugilaresu, lecz jaknajnaturalniej, gdy po uporczywym targu dobił ceny, zażądał, by jubiler posłał z nim kogokolwiek do hotelu po pieniądze. Z nieznajomym pojechał tedy syn jubilera, zabrawszy ze sobą naszyjnik i dla wszelkiej pewności wsunąwszy niepostrzeżenie w kieszeń nabity rewolwer. Wkrótce auto zatrzymało się przed jednym z najelegantszych hoteli Filadelfji. Nabywca naszyjnika, przeprowadzony głębokiemi ukłonami służby hotelowej, znalazł się wraz z towarzyszem w pokoju przezeń zajmowanym. Tam usiadł przu biurku, otworzył szufladę i inkasent ujrzał w niej całe pliki banknotów, a nawet złota. Nieznajomy miljoner wziął w rękę naszyjnik i począł mu się przyglądać z upodobaniem, gdy nagle, w chwili, gdy sięgał już po pieniądze skrzywił się dyskretnie jakgdyby od nagłego bólu, przesunął ręką w okolicach żołądka i przeprosiwszy młodzieńca, włożył w jego przytomności naszyjnik do szuflady biurka, w której leżały pieniądze, zamknął ją na kluczyk i wyszedł z pokoju. Daremnie młody człowiek oczekiwał jego powrotu, wreszcie nie wiedząc, co ma o tem sądzić, wyszedł na kurytarz i podzielił się ze swem zaniepokojeniem z napotkanym służącym. Ten ze zdziwioną miną oświadczył, że pan hrabia Olestier wyjechał przed kwadransem na kolej, uregulowawszy całkowity rachunek za pobyt w hotelu. Okazało się, że pan hrabia zajmował apartament o 2 sąsiadujących ze sobą pokojach z oddzielnemi wejściami. Biurko tyłem swym dotykało do ściany, przy której w drugim pokoju stała duża szafa. Gdy otworzono jej drzwi, sprawa wyjaśniła się odrazu: po wyjęciu tyłu szafy, oszust wybił w ścianie otwór i w ten sposób dostawał się wprost do szuflady biurka, stojącego w sąsiadującym pokoju, gdyż i tył biurka był odpowiednio przezeń wyłamany. Wszedłszy więc z pierwszego pokoju przeszedł przez kurytarz do drugiego i tam po otworzeniu szafy wygarnął z łatwością całą zawartość szuflady, Sposób ten, jakim został oszukany filadelfijski jubiler Schattau, pozwala przypuszczać, iż jest to „robota" paryska, przed laty bowiem padł ofiarą takiego samego „kawału" jeden z jubilerów na Rue de la Paix w Paryżu, autorem jego wówczas był znany oszust i szantażysta Schultz-Baden, operujący także pod nazwiskiem barona Rüstem.

Skaczący samochód. Rozpowszechnienie samochodów jest coraz większe. W „Rzeczach ciekawych" podajemy ich statystykę.



Obecnie wynaleziono samochód, który nietylko pędzi po równej drodze, ale i skacze, jak koń, przesadzając różne przeszkody. Samochód taki w skoku widzimy właśnie na naszym obrazku.

Ślub z drzewem. Zdarzały się już różne dziwy na świecie: bywało, że wyrobnik żenił się z miljonerką, że 80-letnia wdowa poślubiła dwudziestoletniego młodziana. Zdarzało się w Ameryce, że piętnastoletni chłopak zawiadamiał rodziców, iż „wstąpił w związki małżeńskie" z 14 letnią koleżanką ze szkoły. Dotąd jednak nigdy nie słyszano nawet w obecnych czasach o ślubie dziewczyny z drzewem. A jednak wypadek taki zdarzył się w Indjach, w miejscowości Bardoli. Pewna dziewczyna bramańska z powodu ospy została niewidoma. Do lat dwudziestu żyła przy ojcu, który bardzo się martwił o los córki, wiedząc, że nikt nie ożeniłby się ze ślepą dziewczyną. To też czując bliski swój zgon, wyraził on życzenie, by córka wyszła za święte drzewo figowe, które rosło pod ich domem; drzewo to będzie ją chronić, karmić swemi owocami; będzie więc mogła pod jego cieniem oddawać się religijnym rozmyślaniom. Ojciec wkrótce umarł. Dziewczyna przeczekała, aż skończy się żałoba i obecnie według hinduskiego obrządku wzięła ślub jaknajbardziej formalny ze świętem drzewem figowem.

RZECZY CIEKAWE.

Jak często rodzą się bliźnięta.

Przed laty słynna była historja pewnej mieszkanki Wiednia, która urodziła trzy razy bliźnięta, sześć razy trojaczki i dwa razy czworaczki, w sumie miała gromadkę, złożoną z 32 dzieci. Kobieta ta, sama pochodziła z czworaczków, a mąż jej był z bliźniąt.

Ale to już stara historja. Teraz zaś, w Rambouille pod Paryżem pewna kobieta została znowu obdarowana czworaczkami. Wieść niesie, że rodzice ucieszyli się ogromnie z tak znacznego przyrostu rodziny, że odrzucili propozycję burmistrza, który chciał troje z tych dzieci umieścić w przytułku.

Badania statystyczne wykazały, że na 80 narodzin wypada jeden przypadek bliźniąt.

Trojaczki przypadają przeciętnie raz na 6.400 narodzin. Czworaczki raz na 512.000 narodzin. Znany statystyk włoski Guzoni, ustalił te cyfry, zbadawszy 50 miljonów wypadków narodzin. Skłonność do rodzenia bliźniąt jest w niektórych rodzinach dziedziczną, przyczem wchodzi tu w grę dziedziczność zarówno z męskiej, jak i z żeńskiej strony. (Każdy z nas może łatwo sprawdzić, rozpatrując wypadki bliźniąt wśród swoich znajomych). Jeżeli zachodzi wypadek, że oboje rodzice pochodzą z rodzin, w których rodzą się bliźnięta, skłonność ta staje się większa.

Należy więc uważać dobrze na tę kwestję przy zawieraniu małżeństwa.

Dziwolągi statystyczne.

Chilijski dziennik „La Nation" korzystając z ogórkowego sezonu, zabawia się w drukowanie zabawnych zestawień statystycznych. „Jeśliby wszystkie szpilki, używane przez panie w czasie ubierania się, ułożyć jedną za drugą, wówczas utworzyłyby one kabel telegraficzny, będący w stanie połączyć Sidney w Australji z San Francisco w Ameryce. Jeśliby utrwalić na jednej płycie gramofonowej wszystkie przemówienia, wygłoszone w chilijskim parlamencie, wówczas wykonawca tak piekielnego pomysłu zasłużyłby na dożywotnie zamknięcie w więzieniu". Czy to odnosi się tylko do parlamentu w Chili?...

Dobrzy i źli wierzyciele.

Pewne towarzystwo amerykańskie przeprowadziło statystykę strat ponoszonych przez wierzycieli, wskutek niedotrzymywania zobowiązań przez dłużników. Ze statystyki tej wynika, że ludzie otyli i lubiący gderać od czasu do czasu, są bardziej honorowi od szczupłych i milczących. Jeśli wierzyciel ma wybrać dłużnika między kobietą i mężczyzną, bezwarunkowo powinien zawierzyć swój kapitał kobiecie, która jest bardziej posłuszna głosowi sumienia. Ze wszystkich narodowości świata rekordowo uczciwi są Chińczycy, gdyż najskrupulatniej wypełniają swe zobowiązania.

Ilość samochodów na świecie.

Departament handlu w Waszyngtonie prowadzi bardzo dokładną statystykę, dotyczącą ilości samochodów w całym świecie. Według tej statystyki 1-go stycznia 1927 r. było wszystkiego 27.650.267 samochodów (osobowych i ciężarowych).

Na pierwszem miejscu idą oczywiście St. Zjednoczone, które posiadały wtedy 22.137.334 samochody, czyli 80 proc. ogólnej ilości. Z kolei idzie Anglja z 1.023.65! samochodów; Francja 891.000 samochodów; Kanada 826.918 samochodów; Australja — 365.615 samochodów; Niemcy 319.000 samochodów; Argentyna 222.600 samochodów; Włochy 138.177 samochodów; Hiszpanja 135.000 samochodów.

W zestawieniu powyższem niema cyfr, dotyczących Polski; są one jednak stosunkowo bardzo niskie i nie przekraczają liczby kilkudziesięciu tysięcy; bo u nas ruch samochodowy dopiero rozwijać się zaczyna.

Sekty religijne w Polsce.

W Polsce znajdują się wyznawcy przeszło 15 sekt, czy organizacyj religijnych.

Niektóre z nich wzięły swój początek z katolicyzmu, inne z prawosławia. Jedne znane są na terenie b. zaboru rosyjskiego, drugie — w b. zaborze pruskim, inne, wreszcie — w Małopolsce. Według skąpych bardzo informacyj, posiadanych w tej mierze przez nasze władze, znane są sekty, czy organizacje religijne, następujące: Adwentyści 7-go dnia; połączyli się oni z baptystami, są dosyć ruchliwi, wydają własne pisma, czynni są na terenie wszystkich dzielnic Polski. Bracia Morawscy, albo „herrnhuci", jeszcze inaczej — gminy braterskie; niewiele o nich wiadomo, poza tem, że działają na terenie b. zaboru austrjackiego. Marjawici — o nich już dosyć wiemy. Mennonici — czynni są na terenie wszystkich b. zaborów, a w szczególności we Lwowie. Badacze Pisma Świętego; kiedyś była to jedna organizacja; dziś — już jest podzielona na dwie, ścierające się wzajemnie, a licząca razem kilkanaście małych gminek; w Warszawie akta stanu cywilnego Badaczy Pisma Świętego prowadzi 7-my Komisarjat P. P. Darbyści; sekta z terenu b. zaboru pruskiego; nieraz ujawniała swe istnienie, ale dziś słuch o niej zaginął. Ewangeliczni chrześcijanie-sztundyści; sekta prawosławna; połączyła się ostatnio z baptystami; znana tylko na wschodzie Rzeczypospolitej wśród ludności prawosławnej. Irwingjanie, albo gminy apostolskie — sekta znana tylko w b. zaborze pruskim; od dłuższego czasu nic o niej niewiadomo. W województwie poleskiem istnieje sekta p. n. Kościół Boży. Ale jak sekta ta nazywa się naprawdę, dociec trudno. Raz jej przywódcy piszą do władz o „Kościele Bożym", drugi raz zgoła inaczej. Sekta ta wyszła z prawosławia, a zwolenników jej da się policzyć na palcach. Dużo w swoim czasie słyszało się o kwakrach i metodystach; obie te sekty coraz bardziej znikają obecnie z horyzontu. Do wymienionych już wyżej sekt dodajmy niemieckich katolików, gminy nowoapostolskie, gminy wolne i pierwochrześcijan, a otrzymamy mniej więcej dokładny obraz życia sekciarskiego w Polsce.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 30 sierpnia b. r.

Pszenica .	48·00—49·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	40·00—41 00	Ziemniaki stoł.	11·00—12·00
Owies . .	31·00—32·00	Koniczyna na-sienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	00·00—00·00		
Fasola biała	00·00 – 00 00	Mąka żytnia	67·00—68·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	24·50—25·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Józef Kapuściński z Lipinek 1 zł., Tad. Kwerko z Wieliczki 1 zł.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp. **Grabczak Kazimierz** w K.: Mniej lub więcej dobre rymy to jeszcze nie poezja. W każdym razie nie zaszkodzi próbować dalej, ale przedtem wartałoby się zapoznać z dziełem Tennera p. t. „Estetyka żywego słowa". **Józef Frasik** z R.: Wierszyk p. t. „Wieczorem" nie zły, ale bardzo dużo na ten temat jest w poezji polskiej lepszych. **Mila Ko-czyska** w D. W.: Zagadki dobre, lecz wierszyki jeszcze nie do druku. **D. Lesiowski** w W.: Nie znając powieści, nic nie możemy powiedzieć. Prosimy nadesłać, a zobaczymy. **„Yoga"**: Nowelkę na konkurs otrzymaliśmy. **Tadeusz Kwerko** z W.: Nadesłane zagadki bardzo dobre. **Wojciech Byczek** z K.: Wiersze muszą leżeć czas dłuższy, gdyż mamy ich bardzo dużo, natomiast proza prędzej dostaje się do numeru. Rękopisów z zasady żadna Redakcja nie zwraca. **Maryla Widz** w O.: Pracę konkursową oceni sąd konkursowy. Z „Czaru słońca" można wywnioskować, iż talent jest. Prosimy o coś dłuższego poza konkursem. **W. Miesiączek** w Z.: A jaki tytuł legendy? **Jan Zioło** w R.: Jak Puszczy Białowieskiej, nikt nie zbadał, tak nikt nie zbada serca kobiety. Jest ono sfinksem nieodgadnionym, trudno się więc nad rozwiązaniem tej zagadki mozolić. Szczęścia tak mało na świecie, więc chwytać je, o ile się da, a co potem, najlepiej nie prorokować. **Ela W.** w Z. Panno Elu, a czemu Pani taka zalotna? Radzimy nie przeciągać struny, bo pęknąć może. **Karol Kroczek** z K.: Za łask. odpowiedź i wyjaśnienie bardzo dziękujemy. Jest to dalszy ciąg Pańskiej szczęśliwej ręki. Wysyłkę rozpoczęliśmy. Załączamy serdeczne pozdrowienia. **Wiktorja Sowicka** w S.: W korespondencji Pani może zaszła mylka i pytą Pani o te numera z roku 1926, które jeszcze może Pani otrzymać (kosztują 1 zł. 50 gr.). Na prenumeratę do końca roku brak jeszcze 3 zł. 90 gr. Razem więc z należytością za numera z r. 1926 5 zł. 40 gr. Cześć!

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Szewczuk z J.).

■ ☆ ☆ ☆ Wodna roślina.
☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ Przybór lekarski.
☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie.
☆ ☆ ■ ☆ Trunek.
☆ ■ ☆ ☆ Drzewo
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Europie.
☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę.
☆ ☆ ■ ☆ Taniec.
☆ ☆ ☆ ■ Kawał drzewa.
☆ ☆ ■ ☆ Naczynie.
☆ ■ ☆ ☆ Rzeka zapomnienia.
■ ☆ ☆ ☆ Napój.
☆ ■ ☆ ☆ Roślina.
☆ ☆ ■ ☆ Otwór inaczej.
☆ ☆ ☆ ■ Ptak płetwonogi.

Litery wstawione zamiast kwadracików czarnych czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko polskiego poety.

2. Szarady.

(Nadesłał Wł. Bulek z O.).

I.

Gdy lśniły tysiącem barw trzecie i czwarte,
Gdy zda się niebiosa zostały otwarte,
Wycieczka szła ścieżką, która tu najszersza,
Zwiedzić, jak jest brana, z ziemi trzecia [pierwsza.
Stanęła w fabryce. W krąg maszyny, koła,
Na nich pierwsze czwarte, jak spojrzeć [dokoła.
Czarny jak to węgle, z którym lata długie
Robotnik pracuje, w piec je czwarte drugie,
Że zaś dym, zgiełk, zaduch, bardzo znudził [gości
Odeszli z fabryki, dobywszy całości.

II.

Co za cudowny urok ma tu las,
Drzewa, zarośla, krzaki wokół nas,
A w środku druga, trzecia i czwarta,
Jest tylko jedynie w niebo otwarta,
A na niej krzaki. — Jak pierwsza czwarta
Była błądzącym zbyt wiele warta,
Tak pierwsza bez końca trzecia czwarta,
Jest na przednowku szczególnie warta,
Gdyż biedny za nią chleba i soli
Kupi i jak tak ulży swej doli:
Lecz cóż ja mówię: grajcież z całości
Niechaj użyjem tu przyjemności.

III.

Podczas wielkiej wojny miasto oblężono,
Więc żywności miastu nic nie dostarczono
Głód się przeto w mieście, trzecie drugie [wszędzie,
Strach wszystkich ogarnia, co to dalej będzie.
Minął tak już miesiąc, bramy wciąż zawarte,
A tu codzień kilku z głodu, pierwsze [czwarte.
Zrozumieli teraz, że dla braku chleba
Kilka pierwszych drugich, już oprawić [trzeba.
Pierwsza druga czwarta choć dawniej nie[miła,
Dziś była żądana wciąż, by tylko była.
Szczęściem była całość setce pierwszych [drugich,
Więc nie dali miasta mimo cierpień dłu[gich.

IV.

Pierwsze każdej wiosny ludzie widywali,
Przez drugie mówią ludziom póki mali.
Co w kieszonce nosim wciągle drugie [trzecie.
Trzecie to litera znana w alfabecie.
Dziś każdy dom musi być pierwszy i drugi,
Bo tylko dlatego stoi czas tak długi.
Całość chociaż bardzo wielu obmówiła
Nic jednak do dzisiaj sama nie zrobiła.

3. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Tokarz z B.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Robotnik.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie (zdrob.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Inaczej żołnierz.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Duża łódź.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyobrażenie człowieka.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Część twarzy (zdrob.).
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Po francusku *une pandule*.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Stworzenie wodne (zdrob.)
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak dziki.

Litery wstawione zamiast kwadracików czytane z góry w dół dadzą nazwisko wydawcy znanej gazety w Polsce.

4. Zagadki.

(Nadesłał Jan Patulski z S.).

I.

Choć nie wyszło z ziemi łona
Co dzień rodzi się i kona.

II.

Stoi przy drodze na jednej nodze,
Kto się go tknie, na niego klnie.

III.

Tem się kończy, czem zaczyna,
Czy wprost czy wspak jest jarzyna.

5. Przestawianka.

(Nadesłał „Yoga" z K.).

Ty, wo, cię, kto, wić, ko, je, czyz, ten, stra, no, ce, jak, mo, oj, nić, i, się, ty, zdro, sił, le, tyl, steś, do, cię, trza, ja, lit, wie.

Z powyższych sylab utworzyć znany wiersz jednego z wieszczów.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 10 września b. r.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Znaczenie zagadek z Nru 34 „Roli": 1 Logogryf: Maciek Bzdura gada. 2 Szarady: I. Mussolini. II. Barany. 3. Zagadki: nart — tran. II. senes. 4. Łamigłówka: Kraków, Lublin, Poznań, Łuck, Łódź, Wilno, Tarnopol, Stanisławów, Białystok, Warszawa, Nowogródek, Toruń, Lwów, Kielce, Katowice.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Józef Kajzer z W. G., Alojzy Cieślar z J., Wiktorja Święcicka z D., Mila Ko-czyska z D. W. (wierszem), Marja Święcicka z D., Jan Stypa z K., Jan Topolski z P. G., Karol Suwada z M., Władysław Nowak z Cz. (wierszem).

Nagrody wylosowali pp.: Karol Suwada z M. i Jan Stypa z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Polski żyd.

Dzwonek... Otwieram... Wchodzi młody izraelita z mnóstwem lasek i kijów.

— Może pan kupi laskę.

— Nie, dziękuję, nie kupię.

— Dlaczego pan nie ma kupić? Przyda się.

— Powtarzam, że nie kupię! Nie noszę laski.

— Co znaczy, że pan nie nosi? To pan będzie nosił! Laska zawsze przydać się może...

— Drogi panie, niech mi pan głowy nie zawraca! Mówię, że laski nie potrzebuję.

Wypycham go za drzwi...

Po chwili — dzwonek. Ten sam człowiek.

— Może pan jednak kupi laskę?

Chwyciła mię wściekłość. Już zamierzyłem się ręką na natręta, gdy twarz sprzedawcy lasek rozpłynęła się w rozkosznym uśmiechu:

— Nie mówiłem, laska zawsze może się przydać! Może pan kupi laskę!



Nareszcie się dowiedział.

— Co to jest cud?

— Nie wiem proszę pana profesora.

— Gdyby naprzykład, kiedy słońce świeciło w nocy, cobyś powiedział, co to jest?

— Księżyc.

— Lecz gdyby ci powiedziano, że to jest słońce, jakże byś to nazwał?

— Kłamstwem.

— A gdybym ja, co nigdy nie kłamię, zapewnił cię, że to słońce?

— Tobym powiedział, że pan profesor trochę sobie podpił.



Posłuszny.

— Józefie, na miłość Boską, co ty wyrabiasz? Zamiast siedzieć w domu, od rana do nocy w knajpie przebywasz.

— Muszę.

— Jakto?

— Byłem u wróżki. Powiedziała, żebym się wystrzegał blondynki z piwnemi oczami... A w dodatku kazała i wody także unikać. W domu zaś mam żonę blondynkę z piwnemi oczami i — wodociąg.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Konkurs.

Chcąc zachęcić naszych Czytelników do próbowania sił na polu literackim, a innym dać jak najwięcej rzeczy ciekawych do czytania, ogłaszamy niniejszem konkurs na powiastkę, opowiadanie, legendę, bajkę, humoreskę lub wreszcie artykuł poważny.

Warunki konkursu są następujące:

Utwór musi być oryginalny, to jest z nikąd nie przepisany, ani przez nikogo innego nie opowiedziany. Musi zawierać treść zajmującą, odpowiednią dla „Roli“, napisany w formie przystępnej. Objętość utworu nie może zajmować więcej aniżeli jedną stronnicę „Roli“. Musi on być pisany czytelnie, po jednej stronie papieru.

Prace można nadsyłać już. Termin zamknięcia konkursu podamy nieco później. Jako nagrody za najlepsze utwory przeznaczamy kilkanaście cennych książek powieściowych, które otrzymają autorowie 10 najlepszych utworów. Tak nagrodzone, jak i nienagrodzone a dobre utwory będą drukowane kolejno w „Roli“.

W razie napłynięcia większej ilości dobrych utworów ilość nagród powiększymy.

Celem ułatwienia pracy sądowi konkursowemu, złożonemu z wydawcy i Redakcji „Roli“ prosimy o wczesne nadsyłanie utworów.

Redakcja „Roli“.